

Ostap Bondarczuk

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski
Ostap Bondarczuk

Poświadczą nam ci, co razem z nami spędzili czas przeżyty na Wołyniu, między Omelnem, Gródkiem, Hubinem a Kisielami, żeśmy od 1837 r. do 1858, aż do urzędowego podniesienia kwestii emancypacji i nadania włościan, przygotowywali ją i budzili do rozwiązania tego zadania ciężącego na sumieniach naszych, rozumowi politycznemu kłam zadającego. Wszystkie środki do przygotowania umysłów były dobre, myśmy innych nie mieli nad stosunki społeczne, niezbyt świetne, i pióro to, często działało tylko wywołując burze. Nie zrażając się wszakże trudnościami, szliśmy drogą przekonania i obowiązku - u s q u e a d f i n e m[1].

W latarni czarnoksiężskiej tryumfem dla nas było, gdy pobożny, zacny ks. Wiktor Ożarowski powiedział nam raz: "Wiesz, nad twoim Sawką płakałem".

Po Sawce przyszedł Ostap, Jaryna, a w końcu Staredzieje, znane w Żytomierzu, i Historia kołka w płocie. Wszystko to świadczy, żeśmy cel mieli i zostali mu wierni, a o ile mogliśmy, staraliśmy się przyłożyć do tego, co było rozsądnym i obowiązkowym, szlachetnym zarazem i korzystnym. Ostap Bondarczuk był trzy razy drukowany i przełożony na język niemiecki przez prof. Fritza we Wrocławiu, podobno przez kogoś na rosyjski. O tych rosyjskich tłumaczeniach mało co wiemy.

Nigdy nas tu nikt nie pytał o pozwolenie i nie zatroszczył się o prawa nasze.

C'etaitdebonneprise. Co na placu, to nieprzyjaciel. Więcej o nim i o Jarynie nic powiedzieć nie umiemy.

J. I. Kraszewski

Dnia 5 grudnia 1874 r. Drezno

I

Było to świeżo po owym roku klęsk - roku pamiętnym w dziejach świata - 1812[3]; w naszym kraju także na długo zostawił on ślady po sobie: na ziemi gruzem, popiołem i mogiłami, na duszach niejednym zawodem, niejedną stratą bolesną. Po wielkim przesileniu była chwilka ciszy, odrętwienia, spoczynku przed nowymi burzami.

Wojska nowego Aleksandra[4], nowego Cezara[5] przelały się w serce północy i odpłynęły nazad w pół zmarzłe, w pół na duszy zrozpaczone; a kędy przesunęła się wojna, gdzie przeszli z orężem w rękę ludzie gnani wolą zdobywcy, pozostały po nich drogi jak po burzy lub szarańczy: drogi zgliszcz, szkieletów, mogił i ruin.

Pustkami smutnymi stały wielkie części kraju. Wieśniacy odbiegli swoich sadyb, panowie swych pałaców; każdy się tulił pod mury miejskie lub w głąb lasów szukając bezpieczeństwa. Niejedna wieś stała pustką lub zgliszczem, niejeden dom szlachecki świecił wybitymi okny, niejedno pole stratowane obozowiskiem odłogowało nie zasiane.

Straszna to klęska wojna! W lat tysiąc, gdy porozumieją ludzie i godność swą ocenić potrafią, gdy pojmą nareszcie, jak dziwnie zwierzęcym rozwiązaniem wszelkiego sporu jest uciekanie się do siły pięści, do walki ciał, boje naszych czasów służyć tylko będą poetom za temata do strasznych a niepojętych już wnukom i prawnukom obrazów. Niejeden, czytając opisy krwawych bojów całych narodów przeciw całym narodom, zawoła w duchu: o! cóż to za dzikie, barbarzyńskie były czasy!

I przez Wołyń nasz ciągnęły części potężnej Napoleona armii, i tu ślady przechodu pozostały po nich.

Spojrzymy na tę wioskę w dolinie, między dwoma pagórkami leżącą. Jeden z wzgórzów okryty dębowym laskiem, co się jeszcze nie rozwinął, drugi nagi i pokrajany w zarosłe już trawą skiby, lekko schodzą oba ku zielonej łące, co się pozłociła kwitnącą łotocia[6]. Ponad rozlaną jeszcze na mnogie kałuże rzeczulką przechadzają się poważnie czerwonoogie bociany, polatuje czajka piskliwym odzywając się głosem, błędzą cyranki szukając zakrytego trzciniami źródlika.

Ponad łąką i rzeczulką spuszczają się z przeciwległego, lekko pochylonego wzgórzka płosy[7] ogrodów wiejskich, poodgradzane plotami od siebie, gdzieniegdzie ocienione białą od kwiatu gruszą, starą lub wypróchniałą wierzbą.

Ale ogrody te jeszcze nie skopane, rzadko który okrył się czarną odwróconą darnią, większą część przeszłoroczne zeschłe, pogięte zasłaniają bodiaki[8], bziki złamane od śniegu i łodyg kukuruzy lub powywracane kaczany kapusty. Ku górze stoją chaty, każda przeciw swego ogródka. Chata wołyńskiego chłopka warta jest zastanowienia doprawdy. Nie dziwię się ja wcale zasadnej[9], z okrągłych bierwion na mech pobudowanej chacie Poleszuka, pokrytej dranicą na tęgich podwałach, o silnych krokwiach. Tu niewiele sztuki potrzeba było na zrobienie domku, przy dostatku wszystkiego, co ku temu potrzebne. Z trochę starania z tegoż drzewa dałoby się coś jeszcze porządniejszego, a przynajmniej kształtniejszego stworzyć. Ale na Wołyniu, gdzie często całe wsie różgi lasu nie mają, gdzie o materiał tak trudno, chata wieśniacza równie jest kunsztowną i ciekawą jak lepianka w stepie besarabskim[10]. A i tam, to morzem, to Dniestrem, przyjdzie czasem kawał drzewa i większa

zamożność ludu daje mu środek nabycia i kamień wszędzie prawie zastępuje drzewo. Tu nic z tego. Chata w bezlesiu buduje się Bóg wie jak i z czego.

Osobliwsza też to zaprawdę budowa. Kilka krzywych dębowych lub osikowych słupów podpierają ją po bokach. Beleczyki, co by ich Poleszuk nie wziął na krokwie, beleczyki brzożowe, osikowe, chude, krzywe, powyginane służą za podstawę dachu. O

krokwiach nie ma co mówić: są to z kory tylko obrane patyki osiczyny, zawieszane nieforemnie, a tak dalekie od linii prostych, że dach cały, gdy słoma się zleży, jeży się pogórkami i doliny. Łatwo też na nim stać wodzie deszczowej i prędko bardzo mech, z początku brunatny, potem żywej zieloności, wieńczy przegniłą lepiankę. Ściany zarzucają się najrozmaitszego drzewa polanami i nie myśleć im wcale o foremności, ciosać nie ma z czego, ułożyć się krzywe nie da prosto, często też i najczęściej w górze się wydnie, u dołu wklęśnie cieniuchna zaporą, całą rodzinę rozdzielająca od zimowych niepogód i dojmujących wichrów. Zewnątrz i wewnątrz grubo wylepiona gliną, osmarowana co roku, ogrodzona przyzbą, ziemią lub gnojem napełnioną; przecięta maleńkim okienkiem, nad którym wisi kawał

zwinętej maty, chatka wieśniacza trwa jednak długie lata; ale jakże smutna jej zgrzybiałość!

Nieprędko chłopiec pomyśli o nowej, bo mu o nią wielce trudno. Pleciony kominek pałkami już tylko, odartymi z chrustu i gliny sterczy nad nią; dach połamał się, pozapadał, zazielenił od mchu i porósł trawami i zbożem; z jednej strony pochylił się, aż go drągiem podeprzeć musiano, z drugiej zsunął aż na ściel[11].

Nic to! Ściany wpadły głęboko w ziemię, tak że okienko siadło na przyzbie; słupy porozchodziły się na różne strony, drzwi ukosem się otwierają, przecież chata jeszcze mieszkalna. Nieraz dach runie, ściana się wywali, na jedno niby nie patrzą, drugie podeprą i tak, aby dalej, aby dalej. Ciężko bo też to pobudować chatę w bezlesiu. Cóż dopiero inne budowle, kiedy taka chata? Gumno korzysta z plecionego płotu i jedną ścianę oszczędzając, ku niemu się przyparło, chlewec korzysta z chaty i do niej się przytulił, szopka korzysta z chlewka i tak dalej.

Toteż kiedy iskra wyleci na dach, nie ma już ratunku, wszystko płonie. A gdy spłonie, dopiero z musu trzeba pomyśleć o nowym.

Chata, którąście widzieli zgrzybiałą już i letnią staruszką, wcale inaczej wygląda, gdy nowa, a zwłaszcza kiedy gospodarz całą gębą gospodarzem, kiedy gospodyni dbała, a semja[12] duża. Wylepiona, wybielona, omieciona zdaje się ukrywać starannie, z czego się składa i rzekłbyś, że doprawdy pobudowana z drzewa, nie z kijów.

Po 1812 r. wieś nasza i jej chaty wcale jednak inaczej wyglądały. Na wielkim położona traktcie, na wojsk przechodzie, wiedziała, czego się ma spodziewać, i wieśniacy po jednemu, po dwu, potem kupami wybrali się na sąsiednie Polesie. Pan ze swego pałacu daleko wprzód ustąpił.

Wieś, pałac, zabudowania, pola smutny teraz przedstawiały obraz; kilka chat z brzegów całkiem rozebranych sterczały niewyrwanymi słupy i rumowiskiem pieców czarnych. Płoty leżały na ziemi, ogrody okrywały chwasty i pokrzywy przeszłoroczne. Niektóre budowle niedogorzałe, ze zwisłymi

dachy, z wyłamanymi ścianami, zgasłe tylko zawierały ogniska. Stratowana ziemia świadczyła o koniach które w pobliżu stały. Szczątki kości walały się po drodze, krucy obrywali reszty ścierwa ze szkieletów koni.

Głuche milczenie, przerywane krakaniem ich, panowało na wiosce. Mało jeszcze włościan powracali i z rzadkiej chaty kurzyło się, rzadka postać ludzka przesuwała się przez szeroką drogę środkiem wsi wijącą, której część trawą i burzanami[13] zarosła.

W końcu osady był dawniej pałac pański. Zwał się on pałacem, boć ten, co w nim mieszkał, zwał się grafem. Był to budynek piętrowy, żółty, ze czterema kolumnami z frontu, z dwiema oficynami po bokach. Ode drogi oddzielały go sztachety w murowanych słupach i brama murowana, wyniosła, z dwoma glinianymi wazonami na wierzchu. Teraz wojna wyłamała sztachety, słupy z tynków opadły i jedna część bramy runęła. I pałac w nielepszym był stanie.

Większej części okien brakło szyb, a nawet ram, niektóre zamykały się okiennicami, inne zabite były dylami, inne stały otworem dla wróbla i jaskółki.

Jedna z oficyn widocznie służyć musiała za stajnię, bo kupy przez okna wyrzucanego gnoju dobitnie o tym świadczyły; druga w połowie pusta, w połowie zajęta przez rządcę, nieco w lepszym była stanie.

Na froncie pałacowym, nie wiem jakim trafem, kula armatnia wybiła dziurę ponad samym splukanym herbem dziedzica. Jaskółki ulepiły gniazdo w tej pamiętce wojny.

Zniszczenie choć im posłużyło na coś.

Wewnątrz smutno wnijść było. Dach połamany przepuszczał deszcz i tający śnieg, które strugami brudnej wody płynęły na powybijane i powyrywane posadzki, na sztukaterie[14] gipsowe, na malowane i mozaikowane[15] ściany. Pałac sam opowiadał swoją historię. W sieniach postrzelane ściany, ruszona podłoga, zrąbane drzwi. W pokojach kupy popiołu i węgla, krzesła walały się bez nóg, stoły leżały na ziemi, kominki czerwonymi, nagimi świeciły cegłami. W jednej sali kilka rodzinnych obrazów posiekanych, pokiereszowanych, postrzelanych, bez nosów, bez oczu wisiały nieforemnie lub leżały na podłodze. Wielki bilard, odarty z sukna, zarzucony był słomą; do zielonego sznura, na którym wisiał

pająk[16], uczepiono postronek, urządzone na stryczek i widocznie używany, bo pod nim kałuża czarna, zaschła dowodziła barbarzyńskiego pastwienia nad kimś, może niewinnym. Wszędzie pełno kości, zdartych papierów, zgasyłych kłaków od naboju, ułamków mebli i sukien. Na białych ścianach czarnym węglem zapisali żołdacy różnych narodów plugastwa szkaradne.

W gabinecie fortepian pocięty był szabłami, a na posadzce walały się białe klawisze, arfa strzaskana wisiała na kołku, puste ramy obrazów zaciągnął już pająk pracowity.

W biblioteczkę stały szafy puste, kilka tylko tomów rozstrzępionych rozplasty się na ziemi, kilka kart wyrwanych bieleły po kątach, splugawiona rycina ulepiła się na ścianie.

I wszędzie tak, wszędzie. Nie poszanowano kaplicy, nie oszczędzono świętości. A ludy, co się

pastwiły tak nad strzechą nieznanego, nie byli to barbarzyńce, o!

nie! Przyszli z ucywilizowanego Zachodu. Ale wojna rozbrestwia; wojna, każąc człowiekowi nastawiać życia, pozwala mu wyrzec się też wszelkiego uczucia.

Żołnierzowi wolno jest wszystko, bo jutro nie jego, a zapał się podobnie podsyca swawolą.

Krucyfiks kapliczny rozplątany był na dwoje i podziurawiony kulami; na ołtarzu zrobiono żłób, w konfesjonale walała się reszta plewy. W ogrodzie powycinane największe drzewa, zrąbane mosty, zrzucone altany i gdzieś tam tylko twarz bez nosa, rękę bez palców wyciągał z gałęzi i chwastu stary posąg kamienny.

Sadzawki zielona pleśń pokryła.

W oficynie pana rządcy, świeżo jako tako wyporządzonej, parę pokoików zajmował

pan Mrzozowski, który, jak skoro się uspokoiło, ucichło, porzuciwszy żonę i dzieci w Łucku, sam do obowiązków powrócił.

Mógł jednak wybornie odpocząć, bo nie było ani czego pilnować, ani co, ani kim robić. Ludzie wprawdzie powracali, ale musieli iść na zarobki, bo w domu nie było co jeść, nie było czym zasiewać, nie było czym orać i nie było im co dać.

Ani chudoby, ani pług, ani ziarna. Ci, co się zwlekli z końmi i wołami, musieli je sprzedać, aby żyć. Obowiązki więc pana Mrzozowskiego ograniczały się na wzdychaniu, rozpytywaniu, kurzeniu fajki i przechadzkach po wsi. Ozimina nie zasiana, a jarzyny[17] nie było czym i jak zasiać. Jednakże trzeba mu oddać sprawiedliwość, że o tym myślał.

Codziennie regularnie Mrzozowski, zapaliwszy fajkę na krótkim cybuszku, włożywszy czapkę na głowę, chodził po pałacu. Zniszczenie panujące tu nie mogło mu się w głowie pomieścić; ciągnął go ten widok okropnością swoją. Wszedłszy, w sieni stawał, patrzył, ramiony ruszał, kręcił głowę i tak postępował dalej, wszędzie się zatrzymując i medytując. Obszedłszy cały pałac najskrupulatniej, powracał do swojej izdebki, siadał na kuferku, a mając pod dostatkiem połamanych krzesłek raczył się obfitym ogniem na kominie.

Medytację rządcy, codziennie jedne, co dzień się powtarzające, przedłużały się, nieco modyfikując[18], do późnego wieczora.

Po obiedzie uwarzonym przez starą babę, niegdy dworską gospodynię, u kominka, Mrzozowski wychodził na wioskę, na puste łany, rozprawiał z wieśniakami, których napotykał, wstępował do arendarza Lejby, który już objął w posiadanie austerią[19] traktową[20] i wypiwszy kieliszek wódki, nakiwawszy głowę, powracał

siedzieć na pustym kuferku. W dniu świąteczne jeździł do żony do Łucka, lecz w poniedziałek po niedzieli i nazajutrz po święcie powracał na stanowisko.

Zwyczajnym wątkiem medytacji pana Mrzozowskiego było:

- Jak też to oni nic nie poszanowali! - i... - Co to graf powie, gdy powróci?

Wprawdzie pisał pan Mrzozowski do grafa, ale nie otrzymawszy odpowiedzi nie był pewien, czy list jego doszedł.

Jednego poranku, gdy właśnie ukończył przegląd pałacowych pustek i już miał z sieni wychodzić, posłyszał rządcę trąbkę pocztarską, laskanie[21] z bata i turkot powozu spuszczonego się w jar ku dworowi. Mrowie po nim przebiegło.

- Dalipan, ktoś jedzie! - rzekł w sobie, a gdy się przybliżało:

- Doprawdy, że jedzie - powtórzył.

Trąbka grała coraz to głośniej.

- Jak Boga kocham, ktoś jedzie! - zawołał i wyskoczył zaczerwieniony.

A właśnie w gruzy wtaczała się żółta, bombiasta landara[22], sześcią koni zaprzężona, za nią koczyk[23], za koczykiem bryka.

- Jak żonę i dzieci kocham, to graf! Co ja tu nieszczęśliwy pocznę? - łamiąc ręce przeraźliwie zaskowytał pan rządcę. Landara zajeżdżała przed ganek.

Z okna wysunęła się ziewająca głowa pana grafa z rumianym obliczem, obwisłą wargą i siwymi, zaspanymi oczyma.

Spojrzał i zakrzyknął.

Mrzozowski stał drżący, czapkę wzięwszy pod pachę, skulony, z miną zbiednioną.

- Co to jest? - zawołał graf.

Hrabina wychyliła się, spojrzała, zakryła oczy rękami i krzyknęła boleśnie:

- Ach! ach!

- Co tu jest? pustka? - powtórzył dziedzic.

- Jak zwyczajnie po wojnie - szepnął zginając się rządcę.

- Ale to chyba u nas tylko! Nigdzie nic podobnego nie widziałem.

- Po trakcie, jaśnie wielmożny grafie, tak wszędzie.

- Więc wszystko...

- Wszystko zniszczone - rzekł Mrzozowski.

- A wieś?
- Jak wszystko.
- A ludzie?
- Połowy z nich nie ma.
- A pola?
- Nie zasiane.
- To ruina, okropna ruina!
- Ruina, jaśnie wielmożny panie.
- Nieszczęście!
- Nieszczęście! - powtórzył z westchnieniem Mrzozowski.
- Cóżżeś waść robił?
- A cóżem miał robić przeciw wojsku?
- A przecież prosić, starać się u generałów, u starszyzny, skarżyć wreszcie.
- Jeden generał niemiecki kazał mnie, upiwszy się, powiesić w wielkiej sali; ledwie mnie oficerowie przez litość odcięli, Gadać nawet nie dali. Żonę i dzieci musiałem skryć w mieście; sam z niebezpieczeństwem życia dobra jaśnie wielmożnego pana pilnowałem.
- Cóżżeś waść upilnował?
- A cóż? jak jaśnie wielmożny graf widzi.
- Pustki?
- Kazałem okna pozabijać.
- A gospodarstwo?
- Nie ma kim orać, czym orać i co siać.
- Nie siano?
- Nie siano, jaśnie wielmożny panie, ale Lejba obiecuje.
- Ale cóż to poczniemy? - przerwała hrabina - pałac w ruinach, pustki, ludzi nawet nie mamy; mieszkać tu nie podobna. Graf poskrobał się po czole, Mrzozowski stał w milczeniu.

- Gdzież waść mieszkasz ? - spytał.

- W oficynie, dwie izdebki.

- Jechać do oficyny!

Powozy ruszyły sprzed ganku i potoczyły do oficyn. Tu graf i grafini, i mała ich córeczka, Misia, i niańki, i sługi, i cały dwór wysiadł. Ale nie było gwaru; na wszystkich zniszczenie to wielkie uczyniło wrażenie; szeptano tylko cicho, poglądano, a niektórzy pobiegli do pałacu.

Jaśnie wielmożny graf z żoną poszedł także.

Surowo, smutno przeszedł pokoje milczący, z wargą zaciętą. Żona płakała wieszając się na jego ramieniu; stawiała co chwilę i łamała ręce na widok swych ulubionych sprzętów zniszczonych, swych pokoi splugawionych przez hałastrę.

Ludzie idący za państwem cicho, jakby przerażeni, wskazywali sobie w milczeniu to strzały, to szczątki ognisk, to zdarte szmat jakichś ostatki. Mrzozowski z tyłu stąpał milczący także.

Przeszedłszy pałac cały, hrabia wstąpił na ganek ku ogrodowi wiodący. Mrzozowski czegoś się zarumienił, ale nikt tego nie postrzegł.

Po złamanych wschodkach wyszli na trawnik zieleniejący, potem w prawo grabową ulicą. Rządca za nimi, słudzy za nimi milczący. Mrzozowski chrząknął

niespokojnie i kręcił się jak w ukropie.

Uliczką ciemną zbliżyli się ku kamiennej ławce, pod starym dębem nad sadzawką stojącej. Graf spojrzął na rządcę.

- Ludzi z rydlami - rzekł lakonicznie.

- Ten potarł ręką po czole.

- Jaśnie wielmożny panie - wyjąkał - nie ma po co.

- Co? jak to? Skąd waść wiesz, dlaczego ich potrzebuję?

- Nie dla czego, panie, tylko dla dobytka kufra... którego nie ma.

- Jak to nie ma! - zawołał hrabia. - Skąd wiedziałeś, że był?

- Jak tu przyszli Austriacy - mówił mieszając się Mrzozowski - zaraz szukali pieniędzy: bili w ściany, wydzierali podłogi; potem, nie znalazłszy, poszli kopać do ogrodu i... znaleźli.

- Znaleźli! - powtórzyło kilka głosów.

- Znaleźli, podzielili się i zabrali.

Graf z dziwną krwią zimną zawrócił się, cicho coś szepnął płaczącej żonie i poszedł nazad. Mrzozowski czerwony i niespokojny potoczył się za nimi.

Słudzy pobiegli sprawdzić na miejscu powieść o dobytym kufrze; jakoż w istocie kufer snadź odkopany został, bo nie zasypana jama około ławki, już trochę porosła, czerniała jeszcze.

- Straciliśmy wiele - rzekł graf do żony - ale nie wszystko. Nie płacz, moja Anno. Inni stracili więcej; nam jeszcze pozostało czym zniszczenie to zatrzeć. A la guerre comme á la guerre[24]. Mrzozowskiego mam w podejrzeniu. To się jednak odkryć musi. Tymczasem do oficyn, a jutro zajmiemy się ładem i restauracją[25].

Wystarczy nim to, cośmy w Warszawie pożyczyci, a jeśli będzie potrzeba... Nie trap się tylko, moja Anno - dodał. - Ludzie naszej kondycji powinni być wyżsi nad te drobnostki. Le desespoir est canaille[26].

Byłby mówił dalej, ale w tej chwili odarty dzieciak wyrwał się z gęstwiny i począł uciekać.

Ze łzami spojrzała na dziecko hrabina. Było to dziecię wieśniacze, nędzne, żółte, wybladłe, sześć lub siedm lat mieć mogące, a tak odarte, że połowa ciała przez łachmany poczepiane świeciła. Siermięga jego, zlepiona z najróżniejszych szczytów, ledwie piersi i biodra okrywała; nogi bose, ręce nagie, głowa nie okryta była, a na bladej twarzy, pomimo przestachu, cierpienia, śladów schorowania i wyniszczenia głębokiego, ujmujący wyraz łagodności panował. Siwe oczy we łzach pływały, a ściśnięte usta, kształtne, wąskie, choć sine, choć we wpadłych policzkach nie śmiejąc wzywać litości, zarysowały przymuszony uśmiech -

uśmiech biednych, co za obowiązek sobie mają pokrywać nim cierpienie i prosić miłosierdzia.

Pomimo odarcia i przerażającej nędzy, bladeści, wyschnienia, dziecię jeszcze było piękne tą smutną pięknnością zeschniętych kwiatów, co się rozkwitną na gałązce rośliny zwarzonej jesienią.

Twarz uciekającego dziecięcia uderzyła hrabinę i tak już rozczuloną widokiem zniszczenia, myślą o sobie i swoim dziecięciu. Chłopiec poskoczył ulicą, obejrzał się i zaszył w pobliskie krzaki.

- Co to za dziecię - spytała pani.

- Mości Mrzozowski, co to za dziecię? - powtórzył hrabia.

- To, jaśnie wielmożny panie, sierota z tutejszej wsi. Cała chata wymarła z gorączki; ono się tu tuliło przy pałacu, żebrząc; syn Bondarczuka, zowią go Ostapkiem.

- Jak to! nie ma nikogo krewnego, bliskiego?

- Nikogo, jaśnie wielmożny panie; krewni Bondarczuków najpierwsi się ze wsi wynieśli i dotąd nie powrócili.

- Jakże żył?

- Jak robaczki i ptaszęta jaśnie wielmożny panie.

- W zimie?

- I w zimie.

- Nie odchodził przez cały czas nigdzie?

- Nie; ciągle był przy pałacu.

- Czymże żył?

- Nie wiem. We dnie nigdy się prawie nie pokazywał; w nocy widywano go po pustych chatach, grzejącego się u tlejących głowien. Ja mu czasem kazałem dać łyżki stawy, boć to pańskie dobro. Nawet Niemcy i inne nacje[27], co tu stały, z litości go czasem podkarmiali i dawali mu (co sam widziałem) swoje kociołki do wylizywania.

- Biedna dziecina! - smutnie odezwała się pani.

Hrabia pod ciężarem jakiejś uprzykrzonej myśli westchnął także, ale widocznie z innej przyczyny.

Potem chwilkę milczeli. Chłopak przypatrywał się zza krzaku państwu schylony wpół, z oczyma wytrzeszczonymi, widocznie gotów do odwrotu, na kształt dzikiego zwierzątka.

Zbliżywszy Się, hrabina zawołała go do siebie.

- Chodź tu, moje dziecko, chodź!

Chłopiec się zawahał, obejrzał.

- A idźże do jaśnie wielmożnej pani! - krzyknął Mrzozowski podnosząc kija.

Ostap na widok tej groźby już miał pierzchnąć, gdy powtórnie zawołany przez panią, zebrawszy się na odwagę, wystąpił rzuciwszy okiem na rządcę. Tu dopiero w całym swym majestacie objawiła się oczom przytomnych nędza sieroty.

Hrabinie ciągle oczy we łzach pływały.

- O! prawda - zawołała - nie godzi się skarżyć i narzekać na siebie wobec takiej nędzy!

- To całkiem co innego - odmruknął mąż poglądając posepnie. - Oni stworzeni są do tego.

- Mężu! - przerwała Anna.

- Inaczej Bóg by tego nie ścierpiał - z najzimniejszą krwią dokończył graf.

Hrabina rozpytywać się poczęła; ośmielony sierota odpowiadał coraz wyraźniej.

- Byłeś tu przez cały czas?

- Byłem.

- Cóżżeś widział?

- A cóż, to, co i wy widzicie teraz. Palili, łamali, popalili, połamali i poszli.

Nagle graf jakby się ocucił.

- Możesz i to widział, jak tam dobywali kufra pod ławką nad wodą.

Mrzozowski straszliwie pobladł.

- A widziałem - odparło chłopię.

- Doprawdy! - zawołali wszyscy - widziałeś, jak Niemcy... Rządca stał jak pod pręgierzem dusił się, bladł, czerwienił, kołysał na nogach.

- Ale nie Niemcy - rzekł chłopiec.

- A któż?

- Pan rządca z jakimiś ludźminocką przyszli, wykopali, wzięli na wóz i...

- W tej chwili Mrzozowski zniknął, rzucił się w głąb ogrodu, w gąszcze. Słudzy popędzili za nim.

- Możesz widział, gdzie zawieźli? - dodała hrabina

- A jakże, bo przez ciekawość poszedłem za nimi. Bali się widać wieść daleko, to ono tylko zajechali pod gruszę na łąn i tam dziurę wykopawszy...

- Prędzej! prędzej! - zakrzyczał tracąc zimną krew hrabia. Pod gruszę! pod gruszę! Chłopcze, z nami!

I w oka mgnieniu graf z ludźmi poleciał, zabrawszy z sobą Ostapka, na łąn. Pod starą gruszą pomimo ubitej starannie darni znać jednak było niedawno poruszoną ziemię po wklęsłości niewielkiej.

- Tu - rzekł Ostapek.

Ludzie wzięli się do kijów i rydlów, i z niewymowną radością postrzegli wkrótce żelazny kufer, którego wierzch zardzewiały dźwięknął pod uderzeniem rydla.

Dobrano się do zamka; zamek był nienaruszony. Hrabia, rozkazawszy wieść odzyskane mienie do pałacu, pospieszył oznajmić o tym żonie. O Ostapku zapomniano zupełnie i sierota poszła powoli ku łące, gdzie kilkoro dzieci pały chudą trzodkę siedząc u nanieconego ogniska.

Byłby może hrabia na zawsze o dziecięciu zapomniał, bo radość z odzyskania sreber, klejnotów i ważnych papierów całkiem, nim owładła, ale żona pobudziła go do wdzięczności.

- A ten chłopiec? - spytała wieczorem.

- Jaki chłopiec?

- Sierota, co ci pokazał gruszę.

- A prawda! Zapomniałem. Trzeba by dać mu przynajmniej jeść.

- Jeść? mężu! - odezwała się dziwnym głosem Anna. - Kto by cię nie znał, wzięłby za niewdzięcznego lub nieczułego, kamiennego człowieka.

- Mogęż mu co uczynić więcej? - spytał graf.

- Mnie się zdaje - odpowiedziała żona - że możesz go uwolnić, wychować przyzwoicie i lepszy mu los zabezpieczyć. Mnie się zdaje, żeśmy nawet obowiązani do tego.

- Doprawdy? może, może to być! Rób, jak chcesz!

Po tej rozmowie hrabina posłała po Ostapka, którego ledwie wynaleziono ukrytego w ogrodowej budzie. Nazajutrz, odziany, nakarmiony, przyjęty między dworskich, odżył już biedaczek.

W rok potem hrabina odsyłała go do szkół - i ot jak opuszczony sierota dziwnym trafem wychodził na człowieka. Mrzozowski zabrawszy żonę i dzieci pojechał na Podole, gdzie wziął majątek spustoszony w dzierżawę. Hrabia nigdy nawet o nim nie wspomniał.

II

Na berlińskiej publicznej przechadzce[28], którą "Pod lipami" zowią, stanowiącej najpiękniejszą może i najbardziej ludną, przynajmniej w pewnych dnia porach, część miasta, gdzie świat fashionable[29] zwykł uczęszczać, jak w Wiedniu na Prater, w Mediolanie ku Porta Orientale, we Florencji na Casciny, na Corso w Rzymie, w Neapolu na wzgórza Pauzylippu, dniem wiosennym, a raczej wieczorem, wśród tłumu powozów, ludzi i jezdnych, dwóch młodych ludzi szło ustronnie, powoli, jakby nie patrząc na to, co ich otaczało.

Po jasnych włosach a więcej jeszcze po charakterystycznych rysach poznać było łatwo, że słowiańska krew płynęła w ich żyłach, że wśród germańskiego świata byli przybyszami i gośćmi. Lecz należąc do jednego plemienia dwaj młodzi widocznie nie pochodzili z jednej narodu klasy.

Przypatrzymy się im siedzącym na ławce i wśród gwaru w smutnym poglądającym milczeniu na to, co ich otacza, nie przenikając. Obojętnymi oczyma wodzą po powozach, po pieszych parach, po jeźdźcach popisujących się z końmi i paniach uśmiechających się z błyszczących się świeżością karet i landar.

Starszy na pierwszy rzut oka zastanawia tą szlachetnością delikatnych rysów, którą pospolicie przypisują wyłącznie arystokracji; i dlaczegóżby kilka pokoleń swobodnego, wesołego, próżnego żywota nie miało wpływać na wyidealizowanie rysów i postawy? Tak nawet jest; ale potomkowie wielkich rodzin, które przypadkiem, rachubą, ukradkiem nie podsyciły się mniej szlachetną, a bujniejszą krwią ludu, przy wielkiej delikatności rysów mają też właściwą sobie ich zdrobniałość. Nasz młody chłopiec także miał rysy posągowe; oko wypukłe i kształtnie powieką ociągnięte, nos prześlicznych linii, czoło gładkie i wzniosłe, rączkę maleńką, nogę drobną jak kobieca. Ale wdziękowi i szlachetności kształtów ujmował brak siły, jakieś wycieńczenie, znużenie, skarłowacenie, które łatwo postrzegłeś: Zdało się, jakbyś nań patrzył przez szkło zmniejszające, tak wszystko w nim zdrobniało, zmalało. Życie nie płynęło falami po wzdętych jego żyłach, ale toczyło się powolnie, mozolnie, ciężko a może nudno. Czarny, lśniący włos wcześniej, niż należało, zaczął uciekać ze skroni i odsłaniać bardziej jeszcze czoło; barwa różowa zeszała z policzków młodych jeszcze a już bladych i zmatowanych. Oparty na lasce, z założonymi na krzyż rękami człowiek ten w zadumie pogardliwej poglądał, nie widząc, przed siebie.

Drugi, obok siedzący, barczysty, słuszniejszy, biały, rumiany, zbudowany na olbrzyma, rozrosły jak dąb na dobrej ziemi, z długim włosiem blond i niebieskim okiem, z malinowymi ustami, tęskno także, choć wcale inaczej, patrzył. Jego milczenie więcej daleko mówiło. Zrzucony kapelusz, rozpięzchłe włosy, zdarta rękawiczka, zgięty kij w ręku silnym dowodziły gry namiętnej wewnątrz. Oczy błędziły po przechadzce, a każde odebrane wrażenie pisało się wyraźnie, jasno na niezastygłym jeszcze obliczu. Co uczuł, to wyrażał w tejże chwili całym sobą.

Trudno było na pierwsze spojrzenie powiedzieć, jaki stosunek łączył tych dwóch, tak wielce różnych, tak z daleka zapewne zbliżonych ludzi. Nierówność stanu nie tylko rysy twarzy pochodzenie zdradzające, ale ubiór nawet i postawa objawiały.

Pierwszy miał w rękach batystową cieniuchną chusteczkę, cienki złoty łańcuszek wenecki trzymał

jego lornetkę, w złoto oprawną smakownie, laska z gałką przepysznie wyrzezaną pochodziła widocznie od sławnego Verdier z Paryża. Suknie jego musiały być pracownice u Humanna stworzone, a koszulę szył wynalazca tej specjalności z całym staraniem, jakie się tej części stroju należy. Słowem, strój pierwszego był smakowny i kosztowny, choć wcale pozornie nie błyszczący.

Drugi, przeciwnie, zaniedbanym ubraniem przypominał bursza[30], dość gruba, białości śnieżnej koszula buchasto dobywała się spod długiej, czarnej, niedbale spiętej kamizelki chustka à La Colin ledwie z lekka obwijała szyję żylastą i muskularnej struktury. Ręce, z których jedna obnażona była, nie nosiły na sobie śladów tego pieśczonego starania, z jakim ludzie wyższego świata zwykli się z nimi obchodzić. Były to ręce potężne, kształtne, ale wielkie, pracowitego człowieka: dłoń namulona[31], palce nie w jednym miejscu odarte.

Gdy pierwszy pochylał się na lasce sparty, drugi w tył do drzewa się przysunął; oczy ich zdawały się unikać. Głębokie, długie milczenie trwało pół może godziny.

Nareszcie pierwszy, owa postać arystokratyczna, z uśmiechem obrócił się ku towarzyszowi i rzekł:

- Eustachy, o czym myślisz? Miałżebyś się gniewać?

Tamten się zerwał, bystro rzucił okiem, uśmiechnął się także, ale gorzko, i odparł z westchnieniem:

- A, panie hrabio, godziż się tak żartować? Mogęż ja się gniewać?

- Znowu wpadasz w swoją zwykłą przesadę.

- Być może, panie hrabio.

To "panie hrabio" wymawiane było z takim przyciskiem, że widocznie stanowiło przymówkę, szyderstwo może.

- Mój Eustachy, dajże mi pokój z tym hrabiostwem! - rzekł z flegmą drugi. - Wiem dobrze, co to znaczy w twoich ustach.

- I cóż by innego nad głęboki mój szacunek znaczyć mogło?

- Wiesz, kochany Eustachy, że mnie nie łatwo omamić; podaj mi rękę i zgoda.

To mówiąc wyciągnął swoją rękę ku Eustachemu, ale tamten bojaźliwie, powoli, pochylony, dając swoją odezwał się:

- Mógłżebyś pan dotknąć ręki tak prostego, jak ja, człowieka?

- Znowu przymówki i żarty? Jeszcześ mi nie darował tych kilku słów wyrzeczonych nieuważnie, które cię do głębi ranić musiały. Zaręczam ci, że to raz ostatni; proszę o przebaczenie. Ale wolałżebyś, bym nieustannie mając się na baczności nigdy ci serca nie wynurzył z bojaźni, żeby jakie paufałe zwierzenie nie ubodło cię w czymkolwiek? Znasz mnie dobrze, wiesz sam najlepiej, że nie podzielam zdań tych, co jednej klasie wszystko chcą oddać, drugim odjąć wszystko, a słówko jedno...

- A! słówko bolesne! - westchnął Eustachy.

- No, zapomnij mi go! - Wszakciż nie pamiętam i ja, coś mi na nie odpowiedział, chociaż miałbym równe prawo może dąsać się za twoją odpowiedź. Szczerze, zgoda, kochany Eustachy?

Tamten spojrział, łzy mu się pokręciły w oczach, podał rękę.

- Mógłżebym się gniewać? - powtórzył. - Jam ci winien tyle! Ja! na ciebie. Daruj ty mnie, że twoim obejmieniem wyprowadzony z szranków[32] na chwilę zapomniałem o tym, co nas dzieli od siebie! Na próżno, na próżno chcielibyśmy się zbliżyć; jedno słowo rozpycha nas. Przepraszam, zgoda i koniec.

Tu porwał się Eustachy, ciężko westchnął, spojrział na Alfreda, który zimno, ale łagodnie obejmował go wzrokiem.

- Siadaj - rzekł Alfred - siadaj, uspokój się, nie gniewaj i nie mówmy już o tym.

- Nie mówić! nie podobna! Jedno słowo przypomniało mi wszystko; a bliski powrót do kraju poczyna dręczyć niepokojem. Ciągłe mi się z głębi duszy odzywa głos powtarzający kto jestem.

- Mój przyjaciel!

- Wasz poddany!

- Mon cher[33], dajże temu pokój!

- A, hrabio! Alfredzie! serce mnie tam ciągnie, a boję się, drzę, ziębnę! Wielem wam winienem, ale wiele i cierpię przez was! Na coście mnie wzięli sierotę i wyrzucili z właściwego stanowiska?

- Rozumiem, kochany Eustachy, ale nic łatwiejszego, jak zupełnie się zaprzeć tego pochodzenia, które ci tak srogo dojmuje. Tysiące z twojego stanu wyszło podobnie na porządnym ludzi.

- Ja! - zagrzmiął piorunowym głosem Eustachy i odskoczył tak, że idący flegmatycznie z ręką założoną na frak Niemiec, uderzony, zatoczył się i diabłem go poczęstował - ja! ja zaprzeć się pochodzenia! ja kłamać! ja chcieć się weprzeć tam, gdzie nie mam miejsca, przywłaszczając sobie, co nie moje! Ale ja jestem dumny moim chłopstwem! ja nie dałbym za hrabiowską waszą mitrę[34]

wspomnienia pracowitych wieśniaków, co mi dali życie!

- Dlaczegoż skarżysz się? - spytał Alfred.

- Bo cierpię.

- Czym cierpisz?

- Bom paria[35] między wami! Ani wychowanie, ani talent (gdybym go miał), ani cnota, ani nic w świecie nie zastąpi dla was urodzenia. Widzisz moje położenie wśród was i pojmiesz, co mnie czeka. Wrócisz między swoich, o! jak chciałbym, ale mi nie podobna. Świat ducha i myśli

rozgranicza nas od siebie; przesąd, czy jak go tam chcesz nazwij sobie, oddala mnie od was; pozostaję więc sam jeden, wyjątkowo, na stanowisku osamotnionym, wyłącznym, bolesnym.

- Mógłbyś nie powracać do kraju.

- O, lekkoże to powiedzieć, mój Alfredzie - rzekł z mokrymi oczyma Eustachy. -

Wam, panom, wszędzie jest jeden świat, mnie ciągnie ziemia moja, wioska nasza, chata stara obalona, smętarz wiejski, wszystko! Ja tu żyję jak igła magnesowa sercem wciąż zwrócony na północ! A gdybym nawet potrafił zaprzecić się na wieki rodzinnej ziemi mojej, nie mamże obowiązku powrócić, gdy mnie stryj twój a mój dobroczyńca woła?

Alfred milczał zamyślony; wstali z ławki i powolnie ulicą lipową szli dalej a dalej. Rozmowa rozwiązała się dumaniem. Pod starymi dębami zwierzyńca (Tiergarten) zatrzymali się znowu; spojrzeli sobie w oczy.

- Wiesz, Eustachy - rzekł Alfred - stare te dęby przypominają mi moje lasy nadstyrowe[36], mój kraj. Wkrótce tam będziemy.

- Cieszysz się?

- Cieszę? Nie wiem. Biję mi serce, ale z uczucia sprawy sobie zdać nie umiem. A ty?

- Cieszę się, smucę i lękam, wszystko razem.

- Lękasz, czego?

- Tobież to mówić potrzeba?

Alfred ścisnął go za rękę z uczuciem.

- Będę z tobą.

- O! gdyby też nie to - rzekł Eustachy - pomimo mego tęsknego przywiązania do kraju, nie wiem, czybym powrócił, nie wiem, jakbym potrafił wymóc na sobie odwagę. Moje położenie...

- Zawsze wracasz do tej kwestii bolesnej.

- Muszę.

Eustachy znowu wpadł w roztargnienie i niespokojne dumanie.

- Wszelkie bolejące nas pytanie - przerwał mu Alfred powinno się wyczerpnąć do dna i, o ile możliwości, wyjaśnić. Spróbujmy; zdaje mi się, że cię uspokoję.

- Spróbujmy - z łagodnym uśmiechem powtórzył drugi quid tentare nocebit?[37]

Pozwól mi naprzód położyć ci zadanie, jakim ono jest z mojego punktu widzenia. W

1812 roku stryj twój, hrabia, powraca do swojej wioski, znajduje ją zrujnowaną, zniszczoną i w dodatku kosztowności, które zakopał był chroniąc od rabunku spodziewanego, zabrane. Odarte dziecko wiejskie wskazuje mu miejsce, gdzie niewierny rządca ukrył przywłaszczone dobro pańskie. Tym sierotą ja jestem, sierotą ze wsi, poddanym, chłopem. Przypadkowi winienem, że mnie wydzwigniono z nędzy, do której się urodziłem, oddano na naukę, w ostatku pozwolono z tobą, Alfredzie, jechać do uniwersytetu berlińskiego dla wydoskonalenia w medycynie.

Kilka lat razem przebytych zatarło nieco wspomnienia wielkiego przedziału, jaki między mną a tobą los wyznaczył. Przyjaźń prawdziwie młodzieńcza, bez względu na stan i położenie, na towarzyskie nasze stanowiska, łączy biednego sierotę ze znakomitym młodzieńcem. Pozwalasz mi zwać się imieniem przyjaciela, wyciągasz mi rękę jak bratu! A! Bóg ci to nagrodi! Tyś dla mnie był wielkim dobroczyńcą, kto wie, nie większym li tylko od pierwszego? Ale wyjątkowo jedno serce, co się ku mnie skłoniło, nie zaślepia mnie na przyszłość. Z powrotem do kraju wracam w poddaństwo do pierwszego[38] stanu, jestem wystawiony na tysiąc nieprzewidzianych upokorzeń. Ci, co są moimi braćmi ze krwi, nie mają moich myśli i zbracić się ze mną nie mogą nigdy; ci, co są braćmi z myśli i ducha, odepchną, bom dla nich nieledwie coś niższego od człowieka, krewny Eskimosów i małpy.

- Dlaczego?

- Bom się urodził poddanym, chłopem.

- Domysły za wczesne i próżne.

- Nie, kochany Alfredzie, w naszym kraju skutkiem kilkusetletnich, nałogowych już wyobrażeń szlachcic tylko jest człowiekiem; reszta ludzi rozgranicza go tylko od małpy. Kto nie jest szlachcicem, czyni się nim: podrabia nazwisko, wszywa się do herbu i kłamie sobie[39] krew rycerską.

- Zrób więc i ty tak.

- Na Boga. nie powtarzaj tego! Ja! ja jestem dumny, mówiłem ci i mówię, z mojego pochodzenia: byłem i jestem chłopem, synem chłopskim, nic więcej. Zważ teraz, co wyniknąć może z tej nierówności stanu mojego z wyobrazeniami i wychowaniem?

- Co może wyniknąć? - rzekł Alfred zginając łaskę w rękę niecierpliwie. - Ja nic nie widzę, nie rój sobie mar próżnych. Wychowanie da ci wstęp wszędzie.

- Upokarzający.

- Nie rozumiem, dlaczego?

- Wstęp zresztą, pozwalam, nawet grzeczne przyjęcie, ale nigdzie braterstwa, równości, związku. Zimna grzeczność, może zbyt czarna i poniżająca.

- Znowu!

Alfred ruszył ramionami.

- Jestem ja czy nie, arystokratą? - spytał.

- Ty?

- Ja. Przypatrz mi się dobrze i odpowiedz szczerze.

- Z wielu względów jesteś, z wielu - nie.

- Przyznałeś, że jestem nim z wielu względów - uśmiechając się dorzucił Alfred -

a przecież jestem przyjacielem twoim i bratem.

- O! wyjątek!

- Eustachy, w niebezpieczne wpadasz marzenia! Poczekaj powodów, nim gryźć się poczniesz.

Nie mówmy o tym, widzę, że nie mogąc cię uspokoić, gorzej tylko rozdrażnię. Ja nie jestem wcale, jak myślisz, wyjątkiem, owszem, należą do mego ogółu całkowicie; ze mnie mógłbyś, składniej biorąc rzeczy, wziąć miarę innych.

- Dajże Boże! Zresztą, mój Alfredzie, szanując najwyżej twoją przyjaźń wiem, że to pierwszy i zapewne ostatni związek tego rodzaju. Potrafię stanąć na miejscu moim i wytrwać sam jeden, nie pokuszę się o nic, zamknę się w sobie.

Przeznaczeniem moim: wspomagać, cieszyć, leczyć moich braci, resztę losu u Boga.

To mówiąc wstał. ale wzruszony i zarumieniony, widać było, że nie powiedział

głębi swej myśli, na której dnie coś tajemnego zostało. Alfred nie pytał go więcej; wieczór nadchodził, razem więc zwrócili się ku miastu i mieszkaniu.

W drodze przyłączyli się do nich dawni uniwersyteccy towarzysze, eks-bursze, ale już przeszli na filistrów[40], bez atrybutów[41] studenckich, wytwornie ubrani i weseli, upojeni życiem jak wszyscy, co wchodzi dopiero na próg z nie nadłamaną jeszcze nadzieją. Rozmowa stała się powszechną, wesołą i obojętną. Każdy opowiadał swoje zamysły w przyszłości, projekta niecierpliwe, gorące marzenia.

Jeden Eustachy szedł z głową spuszczoną, milczący; przez uczucie delikatności nikt go nie wyzwał do wtórowania wrzawliwemu chórowi zapaleńców. Alfred także wstrzemięźliwie na zapytania odpowiadał dowcipnie i grzecznie żartując z otaczających, nie odkrył się ani na chwilę z tym, co sam w sobie o sobie myślał.

Zbliźmy się do niego, abyśmy powody tej wczesnej niewiary w przyszłość dojrzeli.

Alfred był synem pięknego imienia i dawniej pięknego także mienia rodziców. Ale u nas częściej niż

gdzie indziej się trafia, że imię ciężarem swym gniołąc, nareszcie tych co je noszą, spycha w niedostatek, ubóstwo. Ci, co odziedziczyli piękne imię po sławnych przodkach, nie umieją się w upadku z położeniem swym zgodzić, wyrwają konwulsyjnie z upośledzenia, którym mniemają ubóstwo. Nie umiejąc ani pracować, ani odzyskać straconego, ani się z położeniem nowym pogodzić, stają się ludźmi najnieszczęśliwymi, bo skazanymi na ciągłe kłamstwo. Ich życie jest najbiedniejszą komedią! komedią tragicznie się często rozwiązującą. Muszą kłamać majątek tracąc do reszty, kłamać szczęście w cierpieniu; kłamać państwo wśród niedostatku, kłamać spokojność, gdy ich jutro dręczy piekielnie.

Taki właśnie był los rodziców Alfreda. Znacznie nadrujnowany objąwszy majątek, omyliwszy się w ożenieniu, które było prostą rachubą, a okazało się mylną, ojciec jego nie miał odwagi powiedzieć sobie, że był ubogi. Skutkiem tego pozostałemu synowi zostawił imię tylko i ruiny majątku, który należąc do syna pozornie, w istocie ledwie by mógł zaspokoić wierzyteli.

Ojciec Alfreda i hrabia na początku tej powieści widziany byli rodzonymi braćmi, ostatnimi swego imienia potomkami. Bratu umierający polecił syna, a u łóża konającego dane słowo zapewniło Alfredowi jaśniejszą przyszłość. Hrabia miał

córkę łatwo przewidzieć, co sobie wzajemnie przyrzeczono.

Kosztom stryja, który objął w swój zarząd majątności synowca, wychował się Alfred z całym staraniem na jakie mógł się zdobyć, jakie mógł wymyślić hrabia.

Wychowanie to, wcale nie nowym sposobem pomyślane, ograniczało się wczesnym nauczaniem francuskiego języka, muzyki, tańca, potem wysłaniem do uniwersytetu w Berlinie, dokąd raczej z własnej woli, niż po myśli stryja, udał się Alfred.

Stryj wziął to sobie za rodzaj wojażu[42] i pozwolił na to tym chętniej, że synowiec z Berlina w czasie ferii zwiedził Szwajcarią, Francją, i Anglią. A że tak nazwany wojaż był dawniej ludzi wielkiego urodzenia ostatecznym ukształceniem i tradycyjnie uważał się za konieczność, stryj mówił zawsze, że Alfred wojażuje; nie przyznawał się do uniwersytetu i nauki.

Szczęściem dla Alfreda nauczyciele, których mu traf więcej niż kto inny wybierał, dopomogli do rozwinięcia niepospolitych darów, które od natury odebrał. Wcześniej postrzegł położenie swoje, sam dojrzał, jak mu potrzeba nauki, celu do życia, jak niezbędną może będzie dla niego w przyszłości praca. Wyprosił

się więc do uniwersytetu i począł pracować naprzód nad sobą. Skutkiem jakiejś myśli, której nie powierzył w całości nikomu, mimo nawyknięcia do wygod życia, do pieśczętliwych zbytków, co się stają później uciążliwymi nałogami, Alfred uczył się bez nich obchodzić. Tajemnie brał u rzemieślnika lekcje jednego z najpotrzebniejszych, ale najmniej wdzięcznych rękodzieł; razem z Eustachym chodził na medycynę i otrzymał stopień. Stryj o tym nic nie wiedział, a znając go Alfred ani myślał mu o tym donosić. Pomimo tej tak głęboko uczutej potrzeby oparcia się tylko na sobie i odwołania do własnej pracy, Alfred powierzchownie został paniczem w całym wyrazu tego znaczeniu.

Ubiór jego, obejście, zwyczaje były całkiem pańskie; miał upodobania arystokratyczne w koniach, myślistwie, wytwornym stroju i otaczaniu wszystkim, co piękne. W tym człowieku, tak młodym jeszcze, było dwóch ludzi przygotowanych na dwie drogi, jakie los mógł mu zakreslić. Jeden gotów był pójść starym gościńcem przodków, drugi ciernistą drożyną dorabiających się wszystkiego przez się.

Tak przygotowany Alfred wychodził z uniwersytetu berlińskiego, odważnie zapatrując się w przyszłość.

O ile Eustachy cały był sercem, uczuciem i na zewnątrz wylany, o tyle młody panicz zamknięty w sobie, zimny na oko i rozmyślny w każdej czynności. Z równą obadwa odwagą, używali jej całkiem odmiennie. Pierwszy rzucał się jak lew nie mierząc przeciwności, z którą walczył, drugi rachował, myślał, szedł, łamał i wracał cicho. Eustachy serce miał na dłoni, wedle wyrażenia Francuzów, Alfred -

w głowie. Tamtego poznawałeś w pół godziny tego nie nauczyłeś[43] w pół roku.

Jak wielki wpływ, jak potężną na człowieku przewagę wywiera nauka w pewnym ciągłym kierunku nań działająca, nie potrzeba dowodzić. Alfred był tego żywym dowodem; nowe teorie, nowe pojęcia o świecie, wyczerpane z lekcji sławnych mistrzów, starego w nim człowieka zatarły. Wyobrażenia młodzieńcze spełzły zupełnie pod nowymi pojęciami, głębiej do umysłu i serca trafiającymi. Skutkiem ich Alfred nie wierzył w to, co główny, kardynałny[44] punkt wiary dla jego przodków stanowiło - w szlachectwo, w szlachectwo pojęte ciasno, wyłącznie i niedorzecznie przywilejem jednej klasy.

Alfred nie mógł nie wierzyć w to, że z dwu roślin, zwierząt, ludzi jednego rodzaju jedna istota może być od drugiej indywidualnie szlachetniejsza; ale nie wierzył, by cały rodzaj jeden był szlachcicem, a cały drugi nie. Jeniusz, zasługa stanowiły dla niego szlachectwo; ród był tylko przygotowaniem pomocniczym do osiągnięcia szlachetności (szlachectwa zasady) warunkiem.

Szlachta się rodzi i szlachta się robi; ale z wieśniaka rodzić się może szlachcic, a z szlachcica i pana niedołączna i nieszlachetna istota. Słowem, jeniusz stanowi szlachectwo, a on nie jest wcale dziedziczny. Takie pojęcie szlachectwa odebrało Alfredowi wiarę w siebie dziecinną. Za młodu uważał się czymś wybranym, istotą uprzywilejowaną, przygotowaną na losy niechybnie szczęśliwe, wyznaczoną na wyższość, na rozkazywanie, której drugie niższe istoty służyć miały. Teraz postrzegł, że ci tylko, których siłą umysłu swego podbić potrafi, służyć mu mają, że to tylko go czeka, co dla siebie wypracuje, że tym będzie, czym się sam własną pracą stanie.

Jednakże przekonania swego, które smutnie do duszy jego zajrzało, nigdy Alfred całkowicie nie objawił, wstydił się go. Ludźmi jesteśmy, często lepszymi w sercu, niż się powierzchownie zdajemy. Starego przekonania pozbyć się trudno, trudniej jeszcze przyznać otwarcie, żeśmy się zmienili. Jeden Eustachy, towarzysz nieodstępny Alfreda, wiedział, co się w sercu jego działo.

Ciągle z sobą, powierzali sobie wszystkie swe najtajemniejsze myśli. Ich przyjaźń miała tę rzadko w innych trafiającą się siłę, który dają jedne w gruncie przekonania, a różnie przecie na pozór objawione dla różności charakterów.

Dwie strony jednej myśli dopełniły się w nich wzajemnie i całość stanowiły. Może sam los, stawiając ich na dwu przeciwnych szczeblach klasyfikacji towarzyskiej, przyczynił się do tego, modyfikując stanowiskiem różnym pojęcie w gruncie jedno.

Przyjaźń ich była rzadkim związkiem nie obawiającym się przeszłości, a przechodzące chmurki kończyły się zawsze prędką i pożądaną dla obu zgodą.

Alfred zimnej grzeczności dla innych, dla współtowarzysza był poufałym bratem.

Eustachy w tym związku całą nadzieję przyszłości lepszej budował; napastowany nieustannie myślą o powrocie do kraju i stosunkach swych z otoczyć go mającym światem, uciekał się do tej przyjaźni jak do jedynego w przyszłości ratunku.

Nazajutrz po przywiedzionej rozmowie koczyk Alfreda stał na jednej z ulic Kolońskiego Przedmieścia[45] przed mieszkaniem dwóch naszych znajomych, zaprzężony pocztowymi końmi; pocztylion flegmatycznie przechodził się około powozu oczekując na podróżnych.

W chwili wyjazdu Eustachy ukląkł i łzy potoczyły mu się z oczu. Alfred stał nakładając rękawiczki pracowicie, z uśmiechem nieodgadnionym.

- Módl się - rzekł - jeśli cię to uspokaja, wszelki lekarstwo dobre, byle skutkowało; ale módl się prędzej, bo czas jechać. Szybko, gwałtownie, schwycił

się młody chłopiec, nacisnął kapelusz na głowę i zbiegł ze schodów wołając:

- Jedźmy! jedźmy!

I w milczeniu potoczył się kocz po ulicach nadsprekiej stolicy[46] ku północno-wschodowi.

III

Po wielu upłynionych latach pałac, któryście widzieli na początku tej powieści, zniszczony, pustką zrabowaną stojący, podnosi się przed nami świeży, znowu biały, odnowiony, uśmiechnięty weselem.

Taż sama wiocha stoi, prawie jak była po wojnie. Niektóre chaty podparte, inne niżej zapadłe, inne do przypalonych, starych przysunione słupów stoją, jak stały, w tymże porządku, z jednym pozorem. Płoty tylko calsze, ogrody zasiane i ruchu a luda więcej, gdzie go wprzód prawie nie było. Austeria traktowa jaskrawą, żółtą ścianą się świeci, obok niej powstał wielki dom pocztowy, otoczony stajniami i zabudowany dziedzińcem.

Na grobli szumi przepyszny murowany młyn i krupiarnia[47]. W oddaleniu zielenieją łąki, mającą różnymi barwy strojne pola, od białej kwitnącej hreczki począwszy do żółkniejącego żyta.

Dziedziniec pałacowy z czarnymi sztachety w słupach murowanych zamyka kształtna brama z ciosowego kamienia. W pośrodku rozciąga się zielona murawa, na niej kosze białe i wazonny kwiatów.

W głębi widać z starych drzew złożony ogród, przecięty czystą wodą, która go przepływa.

Cisza w pałacu; na zgarze sali jadalnej wybiła dziesiąta; służący w szafirowym fraku na srebrnej tacy niesie śniadanie do wielkiego salonu.

Ogromny stół owalny okrywa już przygotowane á l'anglaise[48] śniadanie. Kawa, herbata, szynka, jaja na miękko i chlebowe ciastka na przepysznej porcelanie obok srebrnego stoją samowaru.

Za stołem przecie nie ma jeszcze nikogo. Kamerdyner w czarnym fraku, białych rękawiczkach daje rozkazy lokajom, porządkuje talerze, i, zadowolony z swego dzieła wybiera się oznajmić, że wszystko gotowe.

Nagle drzwi z lewej strony sali otwierają się gwałtownie, z stukotem i otyły, siwy, stary, ale krzepki mężczyzna wchodzi. Poznałeś pana domu po wnijsciu, po minie. Z krótko ostrzyżonym włosom, średniego wzrostu, średniej tuszy, hrabia jest typem pewnego rodzaju naszych panów. Twarz jego pięknych rysów szpeci wyraz chmurny i ponury, czoło gładkie przecinają marszczki wyciśnięte wzdłuż i w poprzek, dziwnie pokrzyżowane nad nosem. Oczy siwe, zbladłe rzucają wzrokiem śmiałym, pewnym, nieustraszonym, usta milczą zaciśnięte dumnie. Twarz lekko zarumieniona, siwymi już bakembardami[49] krótko ostrzyżonymi otoczona, całością swą w niczym się nie odznacza, przecież wpatrzywszy się znajdziesz w niej wyraz jakiegoś zadowolenia, spokoju i siły niepospolity.

Ubranie ranne hrabiego składa się z tyftykowego[50] surducika, takichże spodni, żółtych bucików i czapeczki pokrywającej łysinę. W rękę trzyma numer "Gazette de France"[51].

Spojrzał dokoła i nie przemówiwszy słowa wskazał kamerdynerowi, który stał w postawie upokorzonej, na drugie drzwi. To miaro znaczyć: prosić mojej córki.

Lokaje ustąpili pod drzwi same, a hrabia przeszedłszy się w milczeniu po salonie, spojrzawszy

przelotnie na ogród, zajął miejsce na kanapie przed stołem.

Znowu drzwi się otwarły i piękna, młoda panienka, w białym rannym szlafrocisku i ogromnej chustce spuszczonej niedbale, wchodzi z uśmiechem. Była to Michalina pospolicie zwana Misią, córka hrabiego. Wysoka, wysmukła, zręczna, szlachetnych ruchów, wesołej twarzy; brunetka, a biała i różowa jak blondynka, z czarnymi, wielkimi oczyma, żywa widać i swawolna jak zepsute dziecko, ledwie powitała ojca, który troskliwie począł się o jej zdrowie dopytywać. Zrzuciła chustkę, poprawiła ślicznych włosów i siadła w przygotowanym krześle.

Rozmowa ojca i córki zaczęła się po francusku, co dosyć tłumaczyła przytomność[52] służących; ale i bez nich podobno ten język u nas nałogowy byłby zapewne użyty. Ojciec schylił się ku niej i całując ją w rękę spytał naprzód powolnie:

- Zdrowie twoje, Misiu?

- O! tysięczne dzięki; zdrowiuteńka jestem.

- A wczorajszy ból głowy?

- Przechodzi mi snem zawsze.

- Dobrze spałaś?

- Jak bobak[53]. Wstałam przecie bardzo rano, byłam u moich kwiatów w ogrodzie, jeździłam trochę konno.

- Tak rano?

- A! najmilej!

- Sama jedna?

- Był tam ktoś za mną! nie uważałam. Co ci mam dać, papo? herbaty naprzód!

- Dzisiaj? kawy, Misiu.

- Po staropolsku?

- Tak! tak! - hrabia westchnął ciężko.

Ze srebrnym imbryczkiem, który stał na fajerce, Misia wzięła kawę i podała ją ojcu.

Sama poczęła powoli ustawiać swoje śniadanie i nalewać herbatę.

Potem, jakby sobie przypomniała dopiero, żywo zwróciła się do kamerdynera i spytała:

- Pani des Roches?

- Prosiłem - odpowiedział stary z ukłonem.

Prawie w tej samej chwili główne drzwi salonu od sieni otwarły się powoli i trzecia osoba weszła.

Wysokiego wzrostu, wychudła, czarno ubrana całkiem, ukazała się wspomniana pani des Roches. Była to towarzyszka teraz a dawniej Misi nauczycielka; kobieta już niemłoda, ale jeszcze nie zatartych śladów wielkiej piękności. Błądą jak marmur, z oczyma potężnego ognia, ale głęboko wpadłymi, z małą ustami, schudzonymi policzkami; poważna, surowa, smutna, miała w sobie coś dziwnie przejmującego.

Drażnił jej widok jak drażni ciekawy, tajemniczy tytuł książki nieznajomej.

Misia z uśmiechem wskazała jej obok siebie miejsce, a hrabia, powstawszy z kanapy na przywitanie bardzo grzeczne, usiadł wymawiając się, że w tak rannym stroju przyszedł na śniadanie.

Prostym skinieniem głowy pani des Roches odpowiedziała na tę grzeczność, która i niegrzecznością łatwo być mogła. Tak to widać zrozumiała przybyła, bo się wstrzymała i nic nie rzekła, udając, że nie widzi stroju pana hrabiego.

Jakiś czas przerywano milczenie bardzo obojętnymi wykrzyknikami. Misia tylko najwięcej mówiła, trzpiotała się i śmiała.

- A! a! zapomniałam cię się spytać, papo, musiałeś mieć wiadomość od Alfreda, kiedyż powróci?

Hrabia spojrział okiem bez wyrazu i zimno odpowiedział:

- Wczoraj list przyszedł, jest w drodze.

- Dlaczegoż mi tego zaraz nie powiedziałeś, papo?

- Cóż tak pilnego, droga Misiu!

- Spodziewam się! Alfred! brat! tyle lat nie widzieliśmy się, a ty mnie się pytasz, co pilnego!

Prawdziwie, papo, zadziwiasz mnie! Przecież to przyszedł mój narzeczony, nieprawdaż?

I zaczęła się śmiać, patrząc ojcu w oczy. Hrabia się zachmurzył, pani des Roches badając wzrok ukradkiem w nim utopiła.

- Nie odpowiadasz, papo! - powtórzyła Misia śmiejąc się - wstydzisz się?

- Cóż ci mam odpowiedzieć, moja droga! - z przymuszonym uśmiechem rzekł hrabia.

- Wkrótce nadjedzie Alfred.

- Ale gdzież ten list jego? czemuś mi go nie pokazał?

- Nie ma tam nic ciekawego - sucho odparł ojciec.

- Dla ciebie! Ale dla mnie może! Gdzie on jest? Chcę go koniecznie przeczytać!

Jestem kobieta, jestem ciekawa. W twoim gabinecie? - spytała podnosząc się.

- Znajdę go później!

- Ale ja bo chcę zaraz, papo, ja chcę!

- O! zepsute dziecko!

- Sameś mnie zepsuł, papo; znośże teraz i słuchaj twojej Misi. Ten list?

- Jest w moim pokoju! - rzekł ojciec.

Pędem porwała się Misia i pobiegła. Hrabia uśmiechnął się do pani des Roches i rzekł:

- Co za niepokonane dziewczę!

- To anioł! - odpowiedziała Francuzka.

- Uparty aniołek! Ale tym lepiej, będzie miała charakter (elle aura de caractère).

Misia wracała zwycięska, wesoła, z listem w ręku, który już po drodze przebiegała oczyma z wielkim zajęciem.

- Nie daruję ci nigdy, papeczko! Nigdy! Żeby mi też nie powiedzieć zaraz o liście, nie dać go zaraz! List tak zajmujący! tak ciekawy! Od Alfreda!

- Wszak go masz.

- Teraz! Kiedym ci go prawie gwałtem wzięła, zamiast mieć go wczoraj jeszcze!

I pogroziła ojcu na nosku.

- Zobaczysz, papo, co ci zrobię!

- Na przykład?

- Wszystkie twoje projekta zniszczę. Alfreda nie zechcę i...

Tu schyliła się do ucha hrabiego, szepcząc:

- Pójdę za męż, jak pani D...

Ojciec udawał, że się śmieje, ale poczerwieniał cały.

- Rób sobie, duszko, co chcesz! ty wiesz, jak cię kocham, i że w niczym nie umiem ci się sprzeciwić!
Wmawiasz mi na próżno jakieś projekta, których nigdy nie miałem.

- Doskonale! Zapierasz się więc?

- O niczym nie wiem!

-Nie myślałeś o Alfredzie dla mnie?

- Ale nie - z nieukontentowaniem rzekł hrabia.

- Biorę cię za słowo.

- O! jak chcesz! pozwalam.

W czasie tego urywku rozmowy ojciec był widocznie mocno skłopotany i pomieszany czymś. Misia tymczasem odczytywała ciekawie list Alfreda.

- Jeśli taki zimny pedant i ceremonialny grzecznik, jakim go widzę z listu -

zawołała rzucając - zginiony! Po twoich projektach, papo, nic z tego nie będzie.

Porwała list znowu ze stołu, z nowym zajęciem.

- A, a! - rzekła - i nic pewnie nie donosi mi o moim protegowanym?

- O kim! - kwaśno spytał hrabia, choć dobrze wiedział, że mówiła o Ostapie sierocie.

- Jak to? o kim! a - o towarzyszu podróży!

- O towarzyszu! - rzekł ojciec - o żadnym towarzyszu nie wiem... prócz...

służących - dodał z przyciskiem.

- Rachujesz więc do nich i pana Eustachego?

- I Ostapka - dodał hrabia.

- Papo! kochany papo! Nie rób mi tej przykrości!

- Nie rozumiem cię!

- Tyle masz starych przesądów!

Hrabia wzruszył ramionami pogardliwie.

- Bez żartu! Alfred - mówiła Misia przebiegając list - nic o nim nie pisze.

- Cóż mógł napisać?

- A! jak ciekawa jestem! jak jestem ciekawa! Będzie to przynajmniej jedna istota niepospolita w naszym towarzystwie, coś oryginalnego, nowego.

- W naszym towarzystwie! - podchwycił hrabia z oburzeniem.

Misia, jakby tego nie uważała, kończyła:

- Coś ekscentrycznego, niezwykajnego - sierota, chłopek wychowany inaczej, niż oni biedni zwykle bywają, postawiony w tak dziwnym...

- Ach! Na Boga! Nie mogąc dłużej wytrzymać wyrwał się ojciec. - Co dziwnego! co ekscentrycznego? Sierota, chłop, z którego zrobię cyrulika w moich włościach, i po wszystkim.

- Alfred donosił, że jest doktorem.

- To wszystko jedno! - obojętnie dodał hrabia - doktor, cyrulik, dam mu kilkaset złotych i basta! o czym tu mówić tak szeroko?...

Misia patrzyła na ojca.

- Masz racje - przerwała - ale o tym nie wyrokuj, póki go nie zobaczysz. Może się nie na cyrulika wcale kwalifikować będzie, a w takim razie...

- Będzie, czym mu być każe - rzeki hrabia.

- Zobaczymy; co do mnie, papo!... A! jakbym sobie okrutnie życzyła znaleźć w nim oryginalnego coś, niepospolitego! Wy wszyscy, kochany papo, nie wyjmując ani mnie, ani ciebie, ani tych, co nas otaczają, jesteście tacy pospolici, tacy znajomi ludzie - mnie tak nudzi to wasze towarzystwo jednostajnie sznurowane: zimne, blade i wczorajsze, tylko odgrzewane co dzień.

Hrabia uśmiechnął się do milczącej pani des Roches. - Podziękujmy za komplement

- rzekł.

- O! to tylko szczerą prawdą! - śpiesznie dodała Misia.

- Znajdujesz nas tak nudnymi?

- To mi nie przeszkadza kochać was; ale prawda przede wszystkim, papo, nasze towarzystwo podobne jest gładkim uliczkom ogrodu. Bardzo wygodne, piękne, a jednostajnością nudne.

- Wolalabyś więc?

- Zieloną murawę, twardey kamień, błotnistą ścieżkę; coś nowego.

- Zapalona głowa! - rzekł hrabia.

Misia pochyliła się ku ojcu i wdzięcząc mu się rzekła:

- Cóż robić! nie mogę być inną, bierz mnie, jaką jestem.

- Wielka kwestia.

- Zupełnie rozwiązana; tyłeś mnie pieścił, zem się stała tak samowolną, tak swawolną - si vous voulez[54].

- C'est le mot![55] - złośliwie rzekł hrabia.

- Pozwalam, ale jaką jestem, taką będę na zawsze. Nieprawda, pani?

- Lękam się tego - powolnie odezwała się pani des Roches.

- Dlaczegoż się lękasz?

Francuzka zamilkła i zadumała się.

- Prawdziwy sfinks[56], moja kochana des Roches, cała w zagadkach!

- Życzę, żeby ci to na zawsze zagadką zostało!

- Ja się spodziewam, że twoja bojaźń nią będzie.

Mówiąc to uśmiechnęła się białymi zębki Misia i wskazała kamerdynerowi, aby zbierano śniadanie. Hrabia zatopił się w gazecie, którą uważnie na pozór i z wielkim zdawał się czytać zajęciem. Misia wstała i otworzyła drzwi szklane na ganek.

- Jeszcze nie gorąco - odezwała się wciągając powietrze. Madame des Roches, voulez-vous faire un tour au jardin?[57]

- Volontiers[58].

Hrabiemu podano fajkę tureckiego tytoniu na długim jaśminowym cybuchu.

Dwie panie wyszły powoli, a uważny postrzegacz fizjognomii byłby dostrzegł, jak szybko zmienił się wyraz twarzy Michaliny. Zaledwie odeszła od ojca i została sam na sam z panią des Roches, spoważniała (nie tracąc swej żywości jednakże), a gdy nieco dalej odeszły, rzekła:

- Więc nie podobna, kochana Zofio, mego dobrego ojca nawrócić! Co dzień toż samo, co dzień na próżno! powiedz mi, wszelkie przekonanie takli się głęboko w człowieku rozkorzenia i krzewi, że go nic potem wyrwać nie potrafi.

- Wybornego użyłaś porównania - odpowiedziała Francuzka. - Jest to roślina, co się zasiewa, co się

wkorzenia, że jej wyplenić nie podobna! Ale nie dziwujmy się, młodość, długie życie, towarzystwo ludzi jedno zdanie z nim mających, uczyniły ojca twego, czym jest.

- Nawrócić go więc!

- Nie podobna.

- Smutno to sobie powiedzieć! Taki szlachetny, tak dobry człowiek, takie złote serce!

- Mogłoby być inaczej? Urodził się, wychował, zestarzał w swoim przekonaniu. A wszystko, co widzi, co go otacza, utwierdza w nim.

- Wiesz, moja des Roches, ja się niezmiernie lękam przybycia Alfreda, żądam go i lękam się.

Coś mi mówi, że on nie będzie podzielał myśli papieża. Stąd nieporozumienia, nieukontentowania.

A w dodatku, ten mój protegowany!

- Jak to protegowany! Wszak go nie znasz?

- Przepraszam cię, doskonale go pamiętam, a moja dobra mama poleciła go mi! - Co papież zrobić z nim zechce?

- Mówił ci dzisiaj.

- O! z tego nic nie będzie.

- Wprzód go zobaczysz i osądzisz.

- Jestem pewna, że takim go znajdę, jak sobie wyobrażam, Pamiętam go chłopięciem, wyrostkiem; słyszałam, że Alfred bardzo go kocha. My we dwoje z nim zaślaniać go będziemy. Bo przewiduję... Ach! kochana moja des Roches! Niechże prędeż przyjeżdżają, bo przynajmniej będzie życie u nas - będzie o czym mówić, myśleć, kłopotać się, choćby kłócić się trochę. Ja mrę z nudów.

- Z nami, Misiu?

- Choć z wami. Nasza wieś - śmiertelnie nudna, moja Zofio; nie umiemy żyć na wsi.

- To może prawda.

- A nasze wiejskie towarzystwa?

- Prawda, że nudne.

- I wszystko bo prawda, moja droga, co mówię, tylko się w piersi uderzcie, a szczerze przyznajcie. Jest pewna, że papież że ty, że wszyscy tak się paradnie nudzicie jak ja. Papież szczególnie; de Genoude[56] dawno go niecierpliwi, a przyznać się nie chce. Żyje tylko gazetą swoją, która jest

najnieznośniejszym w świecie pokarmem. Vous n` êtes pas légitimiste, Madame des Roches?[57]

Pani des Roches wzruszyła ramionami.

- Wiesz, kto jestem - odpowiedziała.

- A! żebyż już prędzej przyjechali! - zawołała Misia. Chciałabym ich zobaczyć.

Alfreda naprzód, wszakże nie tajno ci, że to mój narzeczony, musimy się pobrać, bośmy ostatni z imienia i majątek przeszedłby w obce ręce. Papa by tego nie przeżył. - Alfred więc naprzód zajmuje mnie, potem ten biedny. Z góry sobie powtarzam, że protegować go będę.

- Kogo? - spytał nagle odzywający się głos hrabiego za córką.

Misia odwróciła się bez pomieszczenia.

- A, szpiegujesz nas, papo, to nieładnie! Wiesz kogo mam protegować.

Hrabia trzymał list w ręku i twarzą okazywał niezwykłe wzruszenie.

- Co to za list? - spytała Misia.

- Ze Skały!

- Alfred przyjechał?

- Przyjechał! Bez sensu wprost do siebie, zamiast przybyć naprzód do mnie. Dziś wieczorem tu będzie.

- A to wybornie, cudownie! Nieskończeniem rada, niechże cię uściskam, kochany papo.

- Powoli, Misiu, słówko i nie ściskaj mnie wcześniej, bo to, z czym przyszedłem, nie zasłuży pewnie na uścisk.

- A cóż takiego?

Hrabia przybrał uroczysty i surowy wyraz twarzy.

- Ma chere[58] - rzekł - proszę cię o jedną rzecz i wymagam, si vous voulez.

- Wymagam! Papo! Co za słowo!

- Nie odstępuję od niego! - serio rzekł hrabia.

Misia spojrzała mu w oczy, wstrzymała uśmiech i zmarszczona, niecierpliwa odpowiedziała:

- Słucham.

- Najprzód matka twoja, potem ty wzięłyście na siebie protegowanie sieroty, którym ja chcę wedle woli mojej jedynie rozrządzać. Uprzedzam cię więc, kochana Misiu, że chcę i będę panem u siebie; że proszę, abyś się w niczym do moich rozporządzeń nie mieszała. Moje postępowanie będzie dla otaczających służących nauką, jak go uważać i postępować z nim mają.

- Słyszę, ale nie pojmuję cię, papo.

- Zdaje mi się jednak, że dość łatwo.

- Łatwo pojąć, a wytłumaczyć sobie trudno - dodała córka - dlaczego, kochany papo, odebrać mi chcesz przyjemność usłużenia komuś? Będę posłuszną, nie mieszam się do niczego.

To powiedziawszy, odwróciła się Misia i szybko poszła ulicą. Hrabia pozostał sam na sam z listem w rękę, zmieszany, bo ile razy córka się z nim w ten sposób rozstawiała, męczył się jej złym humorem i przemęczywszy, ustąpić jej wreszcie musiał. Na ten raz chciał użyć całej swej powagi, ale mu się nie udało.

Przewidywał, że zostanie zwyciężony jak zwykle. Z drugiej strony, niepojęty jakiś wstręt, niewytłumaczoną czuł odrazę dla przybywającego sieroty. Wychowanie dane mu początkowo drażniło go niewypowiedzianie; sto razy chciał zepchnąć to dziecko w pierwszy jego stan, sprzeciwiał się wreszcie wyjazdowi Eustachego za granicę z Alfredem. Ale naówczas żyjąca jeszcze żona wymogła, że na to pozwolił.

Teraz, gdy miał już powrócić sierota, hrabia doznawał jakiejś niespokojności, zbroił się na ten powrót jak na wojnę. Codziennie powtarzał sobie:

- Z tego nic dobrego nie będzie. Żmię odgrzewam, pewny jestem! Nie ma przykładu, żeby kiedyś z chłopca co dobrego wyszło. Będzie to zazdrosne, nienawistne, podłe.

Doniesienia o talentach, o nauce, jakiej nabywał Eustachy, gniewały hrabiego.

- Tym gorzej - mówił - tym niebezpieczniejszy będzie. Musi mieć złe serce, a przy dobrej głowie to daleko prowadzi. Hrabia roił sobie w Eustachym nieprzyjaciela, bo czuł, że go nienawdził i że nienawiść zawsze się prawie nienawiścią płaci i wstrętem.

Wedle starego zaś aksjomatu[59] nie spodziewał się nic dobrego po c h a m i e, jak go nazywał. Liczne przykłady wspierały go w tym przekonaniu.

- Krew - mówił w sobie - krew dobra, dobra rasa - to rękojmia! Z podłego rodu nic pocziwego nie wyjdzie.

Przyszło do tego, że hrabia nie widząc od dawna swego wychowawca obawiał się go wcześniej i postanowił nie dozwalać, ile możliwości, wychodzić ze stanu wieśniaczego, utrzymywać go w uległości, w rygorze upokarzającym.

- Tym sposobem nagnę go, póki czas. Spuścić go z oka nie można; kto wie, co się tam roi w tej głowie! Co się stało, odrobić nie podobna, ale naprawić potrzeba.

Niczym by nie można usprawiedliwić hrabiego w tych jego strachach dziwacznych, gdyby nie to, że czasem człowiek dla nieznanego mu prawie człowieka przecuciem jakimś czy fatalnością[60] doznaje wstrętu, bojaźni, upiera się przy nich, rozżarza w sobie uczucie wyrosłe i marę swoją prawie za rzeczywistość poczytuje.

Jest to wcale nierzadki fenomen. Tysiąc się on razy trafia; bo oczy duszy dalej sięgają niż oczy ciała, a ten drugi wzrok pewniejszy jest czasem od pierwszego, od wzroku per excellentiam[61], co patrząc, jeszcze częstokroć nie widzi.

Ile razy w czasie pobytu Alfreda za granicą przychodziły listy od niego, nie tyle niespokoił się synowcem, co wychowańcem, szukał o nim wzmianki; chciał

koniecznie dowiedzieć się coś złego, aby mieć dostateczny powód dla rozkazania powrotu do kraju. Ale na próżno. Gniewał się, że mu uczyć się Alfred z sobą pozwolił, gniewał, że go brał z sobą do Szwajcarii, Francji i Anglii.

- Po co jemu podróży! Alfred głowy nie ma! Zepsuje go i odda mi potem tak, że nie będę wiedział, co z nim począć; do roli to nie pójdzie, nie zda się na nic.

A niebezpiecznie! Bóg wie! To może być szpieg domowy!

Musimy wyznać, że strach i niepokój hrabiego nieco usprawiedliwiały liczne przykłady niedouczonej wieśniaków, którzy bijąc się w swym stanowisku jak ptaki w klatce, chcąc a nie mogąc wzlecieć, z rozpaczą dopuścili się przestępstw i skalali niewdzięcznością - ale to byli n i e d o u c z e n i, którym trocha światła dała żądzę podniesienia się, nie dając środków do dopięcia celu.

Im bardziej zbliżała się chwila powrotu z zagranicy, tym niepokój hrabiego wzrastał, podwoił się on jeszcze z innej przyczyny. Hrabia przez rząd majątkowy, ład wprowadzony w gospodarstwie i nielitościwą srogość dla poddanych, stanął w interesach lepiej, niż mógł się spodziewać. Pozakładane fabryki, poczynione ulepszenia w kilkanaście lat podwoiły już i tak znaczną fortunę. Przy powszechnej ruinie majątków ten wzrost nagły postawił hrabiego na stopniu wyższym, niżeli od dawna zajmowali podupadli jego imiennicy w hierarchii arystokratycznej. Córka jedynaczka mogła wyjść za jedno z najstarszych i najpiękniejszych i m i o n krajowych[62]. Dano to wyraźnie do zrozumienia hrabiemu napomykając, że nawet można by pozyskać pozwolenie przypięcia imienia hrabiów do nazwy pretendenta[63], jeśliby tego żądano.

Z drugiej strony, dane słowo bratu wiązało go. Alfred ubogi prawie miał być mężem Misi.

Nie wiedzieć skąd, po uczynionych propozycjach od innych, hrabiemu zaczęły myśli różne przychodzić do głowy, których wprzód nie miał.

- Małżeństwa między bliskimi krewnymi, między tak bliskimi, są zakazane. Można by otrzymać dyspensę, ale zwykle małżeństwa takie są nieszczęśliwe. Są przeciw prawu kościelnemu, zły przykład. A chociaż, co wolno nam, tego sobie n i ż s i dozwalać nie powinni - wszakże przykład! - Winniśmy dawać przykład. Po wtóre -

myślał od niejakiego czasu - nie podobna mi zmuszać Misię. Chodzi tu o jej szczęście! Przywiązanie okazać się nie może! może mieć wstręt, może się poświęcić dla mojej myśli! Godziż się dziecię poświęcać! przez próżność?

Nareszcie imię - imię zostanie; Alfred się może bogato ożenić.

Słowem, hrabia głęboko się zamyślał nad podobieństwem niedotrzymania pocziwego słowa danego bratu; a to od czasu, jak mu zaczęto z różnych stron niespodziewanymi podszeptywać projektami.

Książęca mitra, którą nosił anticipative[64] wraz z paludamentem[65] przy herbie, dosyć smakowała hrabiemu. Nowy lustr[66] rzuciłaby taka koligacja[67]; a gdyby jeszcze imię hrabiów połączyć się miało z tym książęcym i chodzić już nierozdzielnie na przyszłość? - Jakby to było pięknie!

Te i tym podobne rozmysły znacznie oziębiły hrabiego względem Alfreda. Począł

sobie mówić: - Zobaczymy, zobaczymy, zobaczymy! - i przygotował się do zerwania zrobionych przyrzeczeń.

Wyraźnie sobie nie powiedziawszy sam, że tego żąda, wzdychał hrabia najbardziej nad tym, jak tak bliskich pozeńić, jak zapewnić, że się sobie podobają. Słowem, gotował wcześniej wymówki.

Tymczasem zbliżał się czas powrotu Alfreda z zagranicy; a w miarę dorastania Misi odwiedziny, zaprosiny, nowe znajomości, stare zapomniane, odnowione związki niezmiernie dumie hrabiego pochlebiali. Ludzie wprzód obojętni poczęli się koło niego łąsić, brać go pod rękę, nazywać kochanym hrabią i coraz częściej bywać.

Kilku panów przyznało się do prababek z hrabiowskiego domu; kilku książąt wywiodło z koligacji przez kobiety oba domy Łączące; hrabia wzdymał się zwycięsko. Ale w miarę, jak świat począł przywiązywać wagę do niego, on nieskończenie mniej cenił dane bratu dawniej przyrzeczenie.

- Koniec końcem - mówił w duchu - dałem słowa warunkowo, jeżeli, jeżeli. Nic mnie tak koniecznie nie obowiązuje. Misia wie o tym słowie, ale pewien jestem, że dla niej to będzie powodem wstrętu dla Alfreda. Ona, tak samowolna.! Nie mogę jej zmuszać, nie chcę, obawiam się. Szczęście dziecka przede wszystkim! Alfred wie także o tym projekcie, sam mu o nim mówiłem, ale śmieszny by był, gdyby mi chciał przypominać. To zresztą nie podobna.

Tak uspokajając się hrabia przygotował razem córkę do nastąpić mającej zmiany projektów. Ale nigdy przed nią nie ważąc się całkiem wypowiedzieć swej myśli, nie był od niej rozumiany. Misia napomykane często przez ojca myśli o tym, że nie ma nic pewnego w związku jej z Alfredem, wszystko od niej zależy, że jej zmuszać nie chce itp., wzięła za ostrożność ojcowską, za bojażń z jego strony, aby narzucony kuzynek, jako narzucony, odrzuconym nie był. Nie domyślała się wcale prawdziwego powodu zubożnienia stryja dla Alfreda.

Ona nie przywiązała się jeszcze do nikogo, jak się zdawało. Często bardzo odwiedzający młodzi nie zrobili na niej żadnego wrażenia; pomimo dobrego wychowania, wytworności talentów, zalecających ich imion, związków, majątków nie wyróżniała szczególnie żadnego. Wesoła, śmiała i poufała ze

wszystkimi, dla wszystkich była obojętnie grzeczną; a w tych pół wyraźnych, w pół osłoniętych oświadczeniach, które wolno jest zrozumieć, wolno niby nie widzieć, zdawała się nie domyślać znaczenia. Kiedy przed nią ojciec wychwalał którego, odpowiadała zwykle:

- Między nimi wszystkimi nie mogę znaleźć żadnej różnicy. Wszyscy zdają się być jednej myśli, jednego charakteru, tak jak są jednego ubrania, jednej prawie fizjonomii, podobają mi się wszyscy zarówno, nikt z nich szczególnie. Byłoby to niesprawiedliwością jednych z tych panów przenieść nad drugiego, tak są do siebie podobni. Pokochawszy jednego, musiałabym wszystkich - czekajmy.

IV

Był wieczór; w salonie, którego drzwi otworem stały na ganek, siedział, nie umiejąc pokryć niespokojności swojej, hrabia, Misia i pani des Roches, jak zawsze smutna i milcząca. Co chwila zrywał się gospodarz domu, przysłuchiwał i znowu siadał przekonawszy, że nikt nie przybywa; a im dłużej tak czekał, tym srożej się niecierpliwił.

Misia czytała niby, a przynajmniej trzymała książkę w rękę, pani des Roches robiła jakąś robotę. Nie myślano nawet o rozmowie, bo żywiołu[68] do niej brakło. Niekiedy tylko wykrzyknik wyrywający się hrabiemu przerywał ciszę długą.

Zmierzchało coraz, a hrabia wstawał i przechadzał się. Zadzwoił wreszcie, wszedł kamerdyner.

- Herbata! - zawołał.

- Nie będziemy czekać? - odezwała się Misia.

- Albożeśmy nie dość jeszcze czekali? - odparł hrabia nieukontentowany. - Pan Alfred widać żartował sobie ze mnie oznajmując swoje przybycie.

To mówiąc usiadł i spuścił głowę na felieton gazety. Turkot dał się słyszeć w dziedzińcu. Hrabia porwał się

- Jadą, rzekł mimowolnie; a Misia z podziwem dosłyszała to wyrażenie dowodzące, że ojciec i Eustachego rachował, bo nie powiedział jedzie, ale jadą.

Wkrótce jednak, jakby się opamiętał, hrabia dodał powtarzając:

- Przecie jedzie.

- Jadą - zawołała Misia rzucając książkę - masz, papa, słuszność, jadą.

- Jedzie - rzekł ojciec z przyciskiem - spodziewam się, sam Alfred.

- Z towarzyszem!

- Zawsze swoje, s ł u g a n i e j e s t t o w a r z y s z e m! Cóż znowu!

Misia ruszyła ramionami.

Kiedy się to dzieje w salonie, a wrący niepokojem drabia hamuje się, by nie wyjść naprzeciw, druga scena odbywa się w ganku. Z powozu wysiedli Alfred i Eustachy; ale w chwili, kiedy do sieni wchodzić mieli, Eustachy zadrzał, pobladł

i wstrzymując towarzysza rzekł do niego po niemiecku, aby ich ludzie zrozumieć nie mogli:

- Hrabio, znam nadto twojego stryja, a szanuję go nadto jako dobroczyńcę mego, żebym się ośmielił

bez jego pozwolenia wniknąć z tobą. Zostanę tutaj.

To mówiąc odwrócił się, otarł pot z czoła bladego kroplami występujący i siadł na ławie ganku.

- Zwariowałeś! - zawołał Alfred. - Co ci się dzieje?

- Nie mogę wniknąć.

- Byłeś ze mną w salonach niejednego poselstwa w Berlinie, a obawiasz się?

- Bo tam, hrabio, każdy, co by mi mógł uchybić, był dla mnie obcym - rozumiesz?

Tu mam obowiązki, a jestem dumny dorzucił ciszej. - Wystaw sobie obelgę, gdybym ją wymierzoną ku mnie zimno znieść musiał! Nie pójdę, na Boga, idź sam, zostaw mnie i spytaj tylko, czy mi wolno.

Wzruszenie głós mu zatamowało.

- Pozostaniemy więc zapewne oba w ganku, bo ja bez ciebie nie pójdę. Co za szaleństwo! Co za myśl! Każdyż nie ma prawa wniknąć? a ty wchodzisz z podzięką.

- Tak, ale wchodzę z tobą, za tobą; wchodzę jako, jako... Ja nie wiem... ja nie mogę. Nie pójdę.

- Opamiętaj się - szepnął Alfred - wystawisz mnie i siebie na śmiech sług, co tu stoją, zmiłuj się.

- Idź - rzekł Eustachy - idź naprzód! Wniknę potem. To mówiąc zerwał się z ławki i uskoczył w dziedziniec.

Alfred postął chwilę, ale prędko przyszedłszy do siebie, naciągając rękawiczki i poprawiając włosów dorzucił:

- Przyłóż chustkę do nosa, powiem, żeś zachorował.

- Mów, co chcesz.

Gdy się to dzieje, a Alfred jeszcze się waha, co począć, hrabia niecierpliwie chodzi po salonie; rad by wyjrzeć, a nie chce się kompromitować pośpiechem nawet przeciw synowcowi, tupa, zżyma się i siada znów do gazety.

Wtem drzwi się otwały, Alfred wszedł; z otwartymi rękami poskoczył ku niemu stryj, udając więcej jeszcze czułości, niżeli jej było w istocie w sercu.

- Kochany Alfred!

- Stryj kochany!

Rzucił okiem na drzwi - nikogo więcej.

- Co to jest? - pomyślał. - Nikogo? Gdzie t a m t e n ? T a m t e n leżał mu kamieniem na sercu, a spytać o niego, przynajmniej w pierwszej chwili, nie wypadało. Przywitanie czułe, serdeczne zawarło się przypomnieniem wzajemnym Misi Alfreda. Oboje z jedną myślą zmierzyli się wzrokiem.

- To on!

- To ona!

Oboje znaleźli się takimi, jakimi widzieć spodziewali.

- Dobrześ nam, kuzynku, kazał na się czekać, od tak dawna obiecywałeś! I nie przyjechać wprost tutaj, ale do Skały! Nie bardzo ci widać spieszno było do nas.

Alfred uśmiechem grzeczności podziękował.

- Darujcie mi: droga, znużenie. Cóż by to było, żebym tu przyjechał chorować?

Byłem prawie chory po podróży.

- Właśnie do nas należało jechać - przerwała Misia. - Kto cię tam mógł pilnować w tej ciężkiej chorobie? - dodała żartując, ale nie bez myśli dowiedzenia się także, co zrobił Alfred z towarzyszem podróży.

- Misia a parfaitement raison[69] - dorzucił ojciec - trzeba było wprost jechać, mam ci to szczerze za złe.

- Vous etes bien bon[70] - szepnął Alfred - ale co się tyczy towarzystwa i dozoru przy chorym, tych mi nie brakło.

- A więc znalazłaś kogoś w Skale? - zapytała Misia wiedząc dobrze, że tam nikogo nie było i że Alfred chce mówić o towarzyszu.

- Nikogo, ale ze mną przyjechał.

- A! dobrze, żeś mi przypomniał - przerwał hrabia (Misia szczerwieniła się i odwróciła) - cóż się stało z tym chłopcem, z tym, z tym, jakże mu imię? nie przypominam sobie, poddanym moim, który się podobno sposobił na felczera?

- Na felczera? - zdziwiony spytał Alfred - nie, na doktora.

- To prawie wszystko jedno, ale cóżeś z nim zrobił?

- Jest tutaj.

Wszyscy się mimowolnie obejrzelik ciekawie. - Czemuż nie wszedł z tobą? - spytała Misia.

Alfred miał odpowiedzieć, ale hrabia mu przerwał:

- Czemu nie wszedł? Cóż by tu robił? jest to dowód wielkiego sensu z jego strony, to mi się podoba. Poszedł na folwark c'est ça[71].

- Za pozwoleniem, kochany stryju - z kolei zapłomieniony odezwał się synowiec -
my się chyba zupełnie nie rozumiemy. Przywiozłem z sobą - rzekł dobitnie -

mojego przyjaciela, doktora Eustachego; nie wszedł ze mną, bo gwałtowne może wzruszenie czy inny
jaki powód nie dozwoliło mu.

- Chory? - spytała troskliwie Misia idąc ku drzwiom.

Tu scena się rozdwoiła, hrabia czuł potrzebę odpowiedzieć razem Alfredowi i zgromić wychodzącą
córkę; wściekał się prawie; pochwyciwszy więc Misię za rękę, zawołał żywo:

- Śni ci się, Alfredzie, przyjaciela!

- Tak jest, przyjaciela, kochany stryju.

- Człowieka.

- Bardzo uczciwego i przyzwoitego człowieka, który był ze mną w najpierwszych salonach.

- Un manant!

- Stryju kochany - dorzucił Alfred - dziś na urodzenie nikt nie uważa.

Nie podobna było straszniejszej rzeczy surowiej i otwarciej powiedzieć. Otwarte usta hrabiego
zamknęły się gwałtownie, zacięły, zsiniał, zbladł potem i rzuciwszy okiem na Alfreda:

- Każdy jest panem swojego przekonania i czynności. Waćpan, panie hrabio, możesz przyjaźnić się z
kim chcesz, żyć z kim się podoba, wierzyć, w co ci wierzyć każą mędrkowie, ja trzymam się starych
obyczajów i wiary. Un manant est un manant, un vilain - s'it n'est pas pis[73].

Ostatnich słów domówił z gniewem, odwrócił się i odszedł.

Alfred zmiłkł.

- Ten człowiek - szepnął do Misi - ma tyle delikatności, że sam wejść nie śmiał, chociażem go o to
prosił, ale przeze, mnie pyta stryja, czy mu się prezentować[74] i dziękować sobie pozwoli.

- Słyszysz, papo! - zawołała Misia powtarzając słowa Alfreda z oburzeniem prawie. -

Prawdziwie, ja nie poznaję papy... z twoim sercem...

- Proś więc go sama, kiedy chcesz - rzekł hrabia - niech wnijdzie, ukloni się i idzie sobie do licha.

- Jeśli tak, niech lepiej nie wchodzi - zawołał Alfred - nie przywykł do podobnego obejścia.

- Przywyknie! - przerwał hrabia. - Chcesz mi go narzucić za towarzysza?

- Skarżyć by się na to nie można; jest to człowiek tak dalece wyższy, tak ukształcony...

- Dajże mi pokój z pochwałami.

Misia i Alfred radzili się wejrzeniem, co począć.

- Idę go prosić - odezwała się Michalina.

- Jak chcesz - z gniewem mruknął ojciec i postąpił ku gankowi, jakby uciekał.

Drzwi się otwarły, chwilka upłynęła, Misia, wiodąc za sobą bladego jak ściana Eustachego, weszła do salonu. W sieni już poczęła wesołą i ośmielającą go rozmowę. Na widok hrabiego, który brwi namarszczył i nastroił się umyślnie, przybyły nie wiedział, co począć. Alfred mu dopomógł i sam za niego w kilku słowach podziękował hrabiemu, który stał także niemy chciwie pożerając oczyma człowieka, którego przybycie stawało mu się ciężarem. Wszystkich oczy były zwrócone na Bondarczuka, wszyscy się dziwili szlachetnej postawie, pięknej twarzy i temu wyrazowi siły i męstwa, które go odznaczały; niezmierna tylko bladość pokrywała rysy jego w tej chwili.

Hrabia wyszedł na ganek; z ganku mógł słyszeć rozmowę, a świadkiem jej być nie chciał. Uwolnieni od ciężkiej przytomności jego, Misia i Alfred poczęli żywo pytania i odpowiedzi rzucać i chwytac, usiłując wmieszać do nich Bondarczuka, aby mu dodać tak pozbytej na progu odwagi; ale na próżno w początku; uczucie swojego położenia, swego poddaństwa jeszcze nie startego, jakaś boleść w sercu odejmowały mowę Eustachemu. Słuch hrabiego próżno się wyteżał, aby pochwycić słowo z ust jego. Nareszcie Alfred zadał mu umyślnie, tak wprost go dotykające pytanie, że uniknąć odpowiedzi nie było sposobu. Rozmowa toczyła się po francusku, Eustachy tymże językiem czysto i pięknie mówić zaczął.

Za drzwiami ganku wielkie było zdumienie hrabiego i gdyby po chińsku, po grecku, językiem najdziwniejszym przemówił, nie byłby go tak zadziwił.

Chłop mówiący po francusku! Było to coś niesłychanego - anormalnego!

Mówi po francusku - zawołał w sobie hrabia - mówi i dobrze! To nadto! A!

rozumiem - i uśmiechnął się w sobie gorzko, smutno, gniewnie.

Łagodny, miły dźwięk głosu sieroty uderzył uszy Misi, bojaźnią drżący, stał się słodszy niż zwykle, spojrzała na niego z litością i pomyślała: - Biedny człowiek! biedny człowiek.

Alfred myśl jej podzielał.

Podawano herbatę; hrabia z ganku nie powracał, rozdąsany jak dziecko, nie wiedział już, jak sobie poradzić. Wnijsć było to uznać się zwyciężonym; nie wchodzić - dziwactwo. Dilemma[75] nieuniknione. Stał w progu, ale nie wiedząc sam jeszcze, co począć. Zajmowało go rozwiązanie pytania, jak ma postąpić z Eustachym? Widok przybyłego, a nade wszystko ta uroku pełna

francuszczyzna, zmieniły wielce dawne myśli hrabiego; Wyrazy Alfreda o p r z y j a c i e l u wpłynęły także niemało. Co począć? co począć'?

- Qu'il aille se faire pendre ailleurs[76] - rzekł gniewnie - nie chcę go.

To znów mówił:

- Mógłby mi być użytecznym. Zobaczymy. Ale tymczasem... Jeśli on przy mnie u s i ą ś zechce? To jednak być nie może, to być nie może. Mówi po f r a n c u s k u

- a więc wszystko być może. Niechby sobie szedł do diabła! Ah! quelle perplexité![77]

Tymczasem rozmowa się toczyła coraz swobodniejsza, opowiadano o balach, które ambasador austriacki dawał w Berlinie. Eustachy opisywał w pomoc Alfredowi salony. Hrabia zagryzł usta.

- Był więc tam? ci ludzie nie szanują się? z tego wszystko złe! nic już nie ma na ziemi świętego! zaczyna się od zwalania nas, a kończy!... Piekielna rzecz -

on tutaj.

Wtem położenie hrabiego i wszystkich osób znajdujących się w salonie skomplikowało się jeszcze nieprzewidzianym, niespodziewanym wypadkiem.

Turkot nowy dał się słyszeć przed gankiem; hrabia zbladł jak trup i schwycił się za głowę, postradał przytomność. Stało mu na pamięci, o czym był zapomniiał

zupełnie, że tego dnia obiecał go odwiedzić hrabia B., zwany pospolicie brygadierem, gdyż ten stopień zajmował niegdyś w wojsku, z którego potem wyszedł

nie dość zaszczytnie dla siebie.

Co począć z Ostapkiem będącym w salonie? Spodziewany gość należał do niewielu już dziś najosobliwiej dumnych, niepojęcie w klejnocie szlacheckim zakochanych ludzi. Dziad jego kradł książąt... na plenipotencji[78], ojciec kradł jeszcze na jeneralnym komisarstwie[79], syn ożenił się z wielkim imieniem, a w miarę tego jak z niska wyszedł, nadał się najoryginalniej. Był to podpanek z dumą i próżnością swej klasie właściwą, wyniesioną do najwyższej potęgi. Nie wiem, dlaczego nikt się z niego nie śmiał, a wszyscy lękali; prawda, że tej dumie posługiwała złośliwość i język zmi.

Na samą myśl, że przybyły hrabia brygadier może zastać w salonie Ostapka, porwał

się za włosy gospodarz, zbiegł z progu i miał wymówić przygotowane już: "idź

precz", gdy drzwi przeciwne, roztwarte szeroko, ukazały w głębi na tle ciemnym rumianą o niskim czole, o błyszczących oczkach twarz brygadiera, uśmiechającą się wesoło. Za nim szedł z długimi włosy i hiszpańską bródką syn niedawno przybyły z Paryża.

Nie czas już było! Hrabia nasz zakrztusił się i klnąc w duszy nieprzytomność swoją, pospieszył na

przyjęcie gości. Mijając wszakże Alfreda, szepnął mu:

- Prezentuj go jako przyjaciela, jako Francuza, cudzoziemca, diabła - ale nie...

- Nie mógł już dokończyć, brygadier był tuż, rzutem oka policzył osoby znajdujące się w salonie i zgadując niektóre, domyślając się może reszty, szedł

witać.

Eustachy cały zarumieniony chwycił się za kapelusz i chciał uciekać.

- Zastań - rzekł Alfred - jesteś Francuz, mój przyjaciel, cudzoziemiec.

- Za nic nie skłamię.

- Hrabia rozkazuje, rozgniewasz go śmiertelnie, wyjście twoje z salonu zwróci oczy i podejrzenie.

- Alfredzie, na wszystko cię proszę, puść mnie.

- Mówię ci, zostań.

Walcząc sam z sobą Eustachy pozostać musiał, spuścił głowę, usunął się, aby być jak najmniej widzianym i patrzył w ogród. Po niezmiernie czułym powitaniu Alfreda brygadier ciekawy, jak wszyscy podpankowie, szepnął mu w ucho:

- Ten młody człowiek?

- Doktor, Francuz, mój przyjaciel.

- A!

Tymczasem brygadiera syn, Oskar, prawil prześliczne komplementa Misi, która roztargniona udawała, że ich słucha.

- Kto jest ten pan? - spytał po chwili.

- To Alfred, mój brat, tamten drugi...

Już miała prawda wyjść na jaw, gdy dosłyszawszy zapytania sam Alfred dorzucił szybko:

- Cudzoziemiec, doktor, z którym przyjechałem.

Misia nic nie wiedząc o woli ojca spojrzała na niego wielkimi oczyma.

- Un homme très distingué - dodał nie mieszając się Alfred. Voulez-vous faire sa connaissance?[80]

- Comment don,c?[81]

Oba postąpili ku cofnionemu pod ganek Eustachemu, który widząc ich idących ku sobie, zmieszał się niewypowiedzianie. Jemu bowiem jednemu tylko przyszło w tej chwili na myśl, że kłamstwo wydać się musi. Pomimo zmian, jakie strój i włosy robią na twarzy i całym człowieku, pomimo kilku lat przedzielających dzień ten od pobytu Eustachego z Alfredem w Paryżu, hrabia Oskar poznać go musiał w końcu, bo się widzieli, niejednokrotnie nad Sekwaną. Alfredowi na myśl to w początku nie przyszło i w chwili prezentacji jak piorunem przeleciało przypomnienie.

Wcale jednak niezmiyszany zapoznał z sobą Eustachego i Oskara. Ostatni popatrzał chwilę, zdawał się chcieć coś powiedzieć, potem jako człowiek niezmiernie dbający o sławę dobrze wychowanego, przyjął przedstawionego za Francuza i nie dał poznać po sobie, że się fałszu domyśla. Zagryzł tylko usta nieznacznie.

Eustachy był na żarzących węglach - on, co się brzydził kłamstwem, złapany na fałszu! On, co czcił prawdę jako zasadę wszelkiego dobra, jako rękojmię cnoty -

uznany i przekonany o kłamstwo! Słowa nie mógł wymówić! Hrabia gospodarz ani mogąc się domyśleć, że się wyda zmyślenie, odgrywając rolę swą wybornie, pokrył

gniew twarzą i jak najgrzeczniej zaprosił do koła gości mniemanego cudzoziemca.

Eustachy, znowu współnikiem fałszu być zmuszony, wmieszany ciągłymi pytaniami w rozmowę (bo go, jak u nas zwykle cudzoziemca, zarzucono tysiācem), męczył się niewypowiedzianie. Na próżno Misia starała się go ośmielić wejrzeniem, uśmiechem, łagodnymi słowy. On i hrabia siedzieli jak dwaj męczennicy grając swobodę i wesele. Oskar to się przysuwał do Michaliny, to uważnie i niepostrzeżenie śledził ruchy wszystkie doktora.

Nareszcie coraz bardziej dręczony domysłami i wątpliwością, nieznacznie począł

rozmowę z Eustachym, wziął go z lekka pod rękę i wywiódł w ganek.

- Przepraszam pana - rzekł - może to być omyłką z mojej strony, ale...

- Żadna omyłka, panie - gorzko i żywo odparł doktor - jestem tym, którego widziałeś w Paryżu.

Ale poddany i włościanin hrabiego nie powinienem był znajdować się w tym salonie, wstydzono się mnie i kazano przyjąć to kłamliwe, którym się brzydzę, nazwanie. Nie mnie sądz pan o to i daruj hrabiemu. Spodziewam się, że tajemnica...

Hrabia Oskar parsknął tak potężnym śmiechem, że wszystkich oczy z salonu ku nim się zwróciły, ale razem ścisnął za rękę Eustachego:

- Bądź spokojny! - Kiedyście powrócili do kraju?

- Dziś, w tej chwili.

- I przyjął cię?

- Jak pan widzisz!

Oskar znowu śmiać się zaczął.

- Co za szkoda, że się za Ludwika XIV[82] nie urodził! - zawołał po cichu. -

Trzeba przyznać wszakże, że ma niezłe koncepta, choć mu się wcale na ten raz nie udało.

Przez cały czas rozmowy w ganku oko Alfreda, hrabiego i brygadiera nie zeszło z nich, ale ruchy swobodne obu, powierzchowność nic nie objawiająca nadzwyczajnego nie dawała się domyśleć treści rozmowy. Wchodząc poczęli mówić o Paryżu i wszyscy się uspokoili.

Najpocieszniejsza było widzieć gospodarza, który walczył ze wstrętem, jaki miał

dla chłopca, a musiał związany własnym kłamstwem sadzić się dla niego na grzeczności jako dla gościa i cudzoziemca.

Alfred nie mógł się powstrzymać od śmiechu, który jak umiał, tłumaczył i pokrywał. Zbliżająca się wieczerza godzina byłaby jeszcze skomplikowała trudności, gdyby umęczony Eustachy nie usunął się z salonu pod pozorem bólu głowy.

Nowy niepokój gospodarza.

Dla upokorzenia przybyльца i aby, jak powiadał, nie wyprowadzać go z właściwej sfery, hrabia w pierwszej chwili kazał mu mieszkanie wyznaczyć w najnędniejszej izdebce folwarcznej. Teraz lękając się, aby wszystko tym sposobem nie wydało się, z przyciskiem więc rzekł, żegnając wychodzącego najgrzeczniej:

- Mieszkanie pańskie z Alfredem.

Kamerdyner przytomny, który wprzód odebrał rozkaz względem mieszkania, stanął słupem.

- Jaśnie wielmożny graf... - począł mówić..

- Doktor stoi[83] z Alfredem - dodał dobitnie hrabia, znacząco spoglądając na kamerdynera.

- Przesłyszało mi się zapewne, że jaśnie wielmożny graf...

- Doktor stoi z Alfredem - powtórzył jeszcze dobitniej z gniewem gospodarz.

W potach i płomieniach wyszedł nareszcie z salonu Eustachy i nieprzytomny dał się wieść kamerdynerowi.

Ale tu się nie kończyły jeszcze męczące dnia tego przygody. Historia Ostapka całej wsi była wiadoma, wyglądano go od dawna, przybycie to wzruszyło wszystkich i zaciekało wieś i dwór. Rozmawiano, opowiadano, szydzono, domyślano się.

Ale gdy przybył, nikt go zrazu nie poznał, przez ludzi Alfreda dowiedzieli się.

Wyznaczona kwatery w początku potwierdziła wiadomość. Każdy z dworskich inaczej opowiadając historię Ostapka chciał go zobaczyć, czatował na niego, ciekawy był

charakteru tego chłopaka wysłanego na pana. Kamerdyner, stary Skalski, szlachcic herbu Leliwa, wiedząc o pochodzeniu Ostapka, miał sobie za ujmę przeprowadzać go do kwatery; wskazał więc zaraz w przedpokoju ogromnego draba, kozaka Dubynę, polecając mu, aby t e g o p a n a zawiódł na stację hr. Alfreda.

Z spuszczoną głową stanął, potem ruszył się Ostap, gdy Dubyna szydersko zawołał

bez ceremonii:

- Chodym[84].

Sto oczu z różnych stron, z pootwieranych drzwi, okien, zza węglów wymierzono na pochód przez dziedziniec przybyłego Ostapa. Koło folwarku, gdzie mu naprzód wyznaczono kwatery, stał tłum prostaków, gospodyni, praczki, kuchty, woźnice, oczekujące na niego. Pod oficyną także liczna cisnęła się służba.

- Oto on, to on! - szeptali, zbliżając się wszyscy.

- Patrzaj! to on!

- E! to nie może być! To nie on!

- Dalibóg, że on!

- Nie on.

Posłyszał to Ostap, podniósł głowę i oczy łzawe, westchnął i tę ciżbę ciekawą powitał. Serce mu mówiło, że są to biedni bracia, i zabiło na widok nędzy, zezwierzczenia ich. Łzy grające pod powieką potoczyły się wolno po twarzy, nikt ich nie widział. W tej chwili Dubyna otworzył drzwi oficyny i pokazując mieszkanie Alfreda rzekł:

- Ot tutaj!

My powrócimy do salonu.

Wiedziecie zapewne, czym jest zwykła nasza rozmowa na wsi. Dzieli się ona powszechnie na trzy kategorie: gospodarską, literacką i potoczną. Gospodarska nigdy się nie zjawia w salonach pańskich lub za pańskie uchodzących, krom przy komisarzu z rana; przy gościach nie uchodzi. Literacka trwa

krótko i jakkolwiek poczęta, kończy się na francuskim najnowszym romansie. Potoczna składa się z plotek, opowiadań, domysłów, nowinek. Jest to coś w sposobie bigosiku, który po szlacheckich domkach dają na wieczerzę, zebrawszy różne mięsiwa obiadowe ku temu celowi, z octem, rodzenkami, jabłkami itp.

Tego to rodzaju klejona i zbierana rozmowa, swobodniejszym płynąca korytem od czasu wyjścia Eustachego, trwała w salonie. Brygadier, jakby ciągle miał na sercu wylegitymowanie się ze swych stosunków z panami, nieustannie przywodził

imiona wielkie, hrabiów, książąt, baronów, z którymi żył, do których pisał, których był krewnym.

Poszło to już u niego we zwyczaj.

Młody Oskar mówił ciągle o Paryżu; o niczym innym tak łatwo, pięknie i z takim nie opowiadał natchnieniem. Misia słuchała go figlarnie, szydersko. Alfred zgryziony, pomieszany rzadko się wmieszał w rozmowę. Hrabia gospodarz nadzwyczaj mowny, udając niepojętą dla nikogo wesołość, mówił najwięcej, mówił z wszystkimi, do wszystkich o wszystkim, z gorączkowym zajęciem, z zapalem prawie chorobliwym.

Około dziesiątej wszyscy się rozeszli znużeni; Alfred pospieszył do swojego mieszkania, aby prędzej przyjść w pomoc przyjacielowi.

- Gdzie pan Eustachy? - spytał na progu nie widząc go.

- Był tu, kazał przynieść swoje rzeczy,

- To dobrze; gdzież jest?

- Nie wiem, wyszedł.

- Dawno?

- Więcej godziny.

V

Pokoje przeznaczone dla Alfreda wychodziły jedną stroną na ogród, przez którego topole i olchy stare przeglądał stary mur gotyckiej kaplicy. Noc była cudna, spokojna, cicha, niebo lazurowe, kilka jaśniejszych gwiazd na nim i księżyc w pełni. Gdy Eustachy zbywając się dłuższej męki uciekł do przeznaczonego mu mieszkania, przeszedłszy jak przez różgi pod wzrokiem ciekawych dworskich, upadł

na najbliższą kanapę i bezmyślny spoczywał czas jakiś, nie umiejąc własnych myśli rozplątać. Snuły mu się po głowie, tłumne, bezładne, z różnych chwil życia powyrywane i w jedną nieforemną zwiniętą całość. Dzieciństwo, młodość przesuwają się cieniami czarnymi, jasnymi, pobrawszy się za rękę, niepodobne sobie a zbratane z sobą.

Widział się biednym dziecięciem nagim, wpośród chat popalonych przytułku szukającym, potem wychowankiem hrabiny, uczniem w szkołach prześladowanym, przyjacielem Alfreda, nareszcie, czym został dziś na chwilę, gościem swojego pana. - Co będzie dalej? - pytał w duszy, pytał i nie umiał nawet domysłem odpowiedzieć. Powoli jaśniej, widoczniej rysować się wszystko zaczęło, ochłódł, powstał i przycisnął się do drzwi wiodących do ogrodu. Naówczas spojrzenie ku wsi rzucone chwyciło za serce - nieznany ojciec, matka, rodzina wieśniacza, chata, śmętarz wiejski poczęły go wywoływać ku sobie. Nie mogąc się oprzeć uczuciu pochwycił kapelusz i wyszedł.

Długo błądził po cienistym ogrodzie, póki się opamiętał dokładnie, gdzie był i którędy mógł wyjść na wieś. Furtka z zewnątrz zamykana wywiodła go w trakt, który przez wieś przechodził; zwrócił się ku niej.

Księżyc w pełni, unosząc się coraz bardziej ku górze, oświecał ulicę wiejską, szeroko rozbudowaną i daleko się ciągnącą.

Po obu jej bokach czerniały jeszcze w cieniu stojące chatki niskie, ciemne, w których okienkach gdzieniegdzie połyskiwało czerwonawe światelko łuczywa. Ponad dachami domostw wierzba rozczochrana, brzoza w białej sukience, wina z drżącymi liśćmi wznosiły się jak cienie strażnicze. Tu i ówdzie w ulicy, w dziedzińczyku żuraw studni szyję długą wyciągał; komin zakopcony wyciągał się wyżej. Dalej jeszcze cerkiew o trzech kopułach, o krużgankach mrocznych odbijała się na wyjaśnionym niebie, ciemno dołem, jasno górą, blachą połyskującą obita. Zza płotów misternie skleconych z słomy, patyków, ziemi, krzewów zwieszała się wiśnia, jabłoń, stara grusza osmolona. Cicho było na wsi -

cicho, gdzieniegdzie śpiew smutny, głos stłumiony się odzywał, a z dalekiej karczmy tylko wrzawa, skrzypce i cymbały brzęczały. Ten krzyk pijanego wesela jeszcze dobitniejszym czynił smutek wsi jakby pustej, jakby wymarłej. Wszyscy już byli po chatach, niektórzy spali.

Ostap szedł z uczuciem nieopisanej tęsknoty przez wieś, szukając rodzinnej chaty.

Pamięć jego żywo mu przedstawiała miejsce, na którym stała, zgłiszcze spalonego domostwa, rozwalony piec, sterczące nie dogorzałe węgły. Szedł z bijącym sercem ku niemu, ale inaczej je znalazł.

Podwórko zagrodzone, chata nowa, stara tylko grusza jeszcze się trzymała jakby na świadectwo, że było zgliszcze. Poznał Ostap rodzinną siedzibę, oparł się na częstokole i zadumał.

Fałszywe było zapewnienie rządcy, który hrabiemu ręczył, że Ostap nie ma krewnych nawet we wsi. Rodzice jego zmarli byli wprawdzie z gorączki, ale krewni, babka stara żyła; po uspokojeniu w r. 1813 wrócili wszyscy. Ostap, póki był w kraju, często ich widywał; ale teraz dawno już wieści nawet nie miał o nich, nie wiedział, czy żyli. Brat ojca zajął chatę po zmarłym i mieszkał w niej z babką. Kiedy Ostap wyjeżdżał z Alfredem za granicę, lepianka tylko pół w ziemi, pół nad nią, tuliła biednych nowoosadzonych. Teraz znalazł już chatę i ciekawie wpatrzył się w nią, by odkryć z powierzchowności, jaki był stan krewnych.

Ostap jak wszyscy wydziedziczeni z przywiązania, z familijnych związków serdecznych, pożywał ich i pragnął: co było w nim miłości, wylał na krewnych. Z

niespokojną więc ciekawością puścił wejrzenie w podwórko. Zawarte płotkiem i bramą niezgrabną, ciasne, błotniste, z jednej strony ogródkiem, z drugiej chlewikami zamknięte, zarzucone było w tej chwili wozem niedawno wyprężonym, pługiem i kilką kawałami osiczyny. Ten sprzęt i zapas zajmowały całe prawie; ciasna ścieżka, paździerzem konopi wysłana, wiodła do niskich drzwi chaty. W jej okienku błyskało jeszcze chwilami zadymione światło.

Ostap wszedł wzruszony, pies zerwał się z przyzby i powitał go natarczywym szczekaniem. Skrzypliły drzwiczki, głowa się wychyliła i popatrzywszy znikła; po chwilce druga głowa ciekawie się wysunęła, pies ujadął jeszcze, ale coraz ciszej, jakby go czujność mieszkańców uwalniała już od obowiązku.

- Dobry wieczór - rzekł Ostap.

- A kto tam? - rzeki głos z chaty.

- Ostap Bondarczuk.

To mówiąc przystąpił do drzwi.

- Ostap! Ostap! - powtórzyło kilka głosów po cichu. - Ostap pryjichau[86].

Z sionek ciasnych, wysokim od izby przedzielonych progiem weszli do niej naprzód dwaj chłopaki, co w sionkach stali, Ostap za nimi. W izbie było prawie ciemno, łuczywo blado paliło się na kominie przed piecem i dogasało, dym osłaniał głąb chaty. Z początku nie można było dojrzeć twarzy blisko nawet siedzących.

Świetlica niczym się nie różniła od zwyczajnych, nie zasługując wcale na nazwisko swoje, bo dwoje ciasnych okienek mało do niej bardzo wpuszczały światła. Piec niezgrabny, zaraz od drzwi się poczynający, z przypieckiem na łoże i ławę służącym, zalegał część jej znaczną. Pod ścianami z niegładkich opołków[87] chwiejące ławy stały, w rogu dzieża pod ikonami[88] i stół od siekiery obrobiony z cienkich drzewa kawałków. Warsztat tkacki kradł jeszcze jedną ścianę, a za nim biedne, niskie łóżeczko z pościelą ubogą się kryło. Od belki wisiała na sznurze kołyska. U drzwi ceber i

wiadra, beczka, rozmaity sprzęt kuchenny z garnków po większej części złożony, kąta cały zajmował.

Ciasnota była nieznośna, powietrze duszące, parne, przesiąknięte wyziewami jada, dymu, tytoniu, odzienia. Niewielki alkierzyk ciemny i ta izba służyły za pomieszkowanie całej rodziny składającej się teraz z dwóch braci, siostry, żony starszego, dziecka małego i starej babki. Za posłanie służy im piec, przypiecek, wilgotna w tok[89] ubita z gliny podłoga, jedno łóżko, jeden kąta w alkierzu wolny; w lecie wyżki[90] i stodoły. Izba, świetlica zwana, była wszystkim, małeńkie sionki mieściły trochę drobiu, karmionego wieprzaka i graty gospodarskie. Ledwie się było gdzie przecisnąć. Nie pytaj o zdrowie tam, gdzie nie ma powietrza nawet, a woda na głowę przez dach do nóg wilgotnym podstępnie tokiem, gdzie w zimie dym ogrzewa powietrze; od pieca bucha, od ściany wieje, a na wiosnę kałuże stoją w sieni i izbie, także często wodę z niej wylewać potrzeba; może tam być zdrowie?

- Ostap! - powtórzyło kilka głosów.

- Jak się macie - a babka?

- Żyje.

- A stryj?

- Na mogiłkach.

- A wy?

- Jak widzicie! żyjem, biedujem.

- U was babka?

- U nas, ale śpi starucha - odpowiedział starszy brat.

Wszyscy otaczali Ostapa ciekawie, dwaj bracia stryjeczni, siostra, bratowa z dzieckiem na ręku obstąpili go, patrzali, dziwili się.

Bracia byli młode chłopaki, różne, silne, wyrosłe; starszy, żonaty, wejrzenie i twarz miał wyrazu chmurnego, młodszy, kilkunastoletni, chytrą i szyderską fizjonomię. Nie patrzył nigdy w oczy, ale zawsze ukradkiem i uśmiechał się sam do siebie tajemnie; czoło zasłaniał włosami, jakby się bał, by na nim myśli jego nie wyczytano. Drugi przeciwnie, nosił czoło górą, ale czoło poorane wczesną zmarszczką, smutne, z oczyma ponurymi, łzawymi.

Siostra ich, dziewczyna lat dwudziestu, czerstwa, rumiana, z niebieskimi oczyma, uśmiechającą się twarzyczką, szerokimi, różowymi ustami, wydatną piersią i silnymi rękami; cała tchnęła życiem, co to na jutro nie patrzy. Wesoła piosenka, taniec niedzielny, zalotne szepty wieczorne mały jej pracowite życie.

Bratowa, smukła brunetka, cienka w pasie, szykowna, oczy miała czarne, błyszczące, usta wąskie, nosek prosty i kształtny, była ładna; ale praca ciężka wszelki wyraz prócz znużenia odjęła rysom dość

pięknym. Któż wie, jak ci ludzie pracują? Któż się ośmielił zdziwić ich smutkowi? Dziecię na rękę kobiety, małe, blade, schorowane, drzemało w kołysce, a blask łuczywa podżegnionego padał na twarzyczkę jego okrągłą, ale żółtą.

Taka była rodzina Ostapa, którą on powitał całując twarz, ściskając ręce ze wzruszeniem niewymownym; a w sercu mu głos mówił bolesny: "Co za ciężki los, co za dola! Czemuż nie jesteśmy razem! Cierpiąc razem, lżej by było".

Ci ludzie tak dziecinnie ciekawi, tak rzadko mający czym pragnienie nowości zaspokoić, otaczali go, każdy ruch, skinienie, słowa badając, wpatrując się w suknie, w postawę, twarz.

- Kto by to powiedział, że to nasz brat! - zawołał starszy ściskając go serdecznie - Pan Bóg wam dopomóc powinien, że o swoich nie zapominacie.

Siadajcie.

Biorąc go za rękę gospodarz chaty, Fedko, posadził na ławie przy sobie; drugi brat za drugą rękę porwawszy, przyparł z innej strony, bratowa i Zoja stanęła naprzeciw nich.

- Powiedzcie mi - rzekł Ostap - jak wam tu było, jak jest; długi, długi czas nie widzieliśmy się, stryj umarł.

- Umarł! - ponuro rzekł Fedko - rok temu, nie swoją śmiercią!

- Jak to?

- Ziemia go zasypała, gdy piasek kopał; nimeśmy się dogrzebali, nie żył. Nie pochowali go nawet na świętej ziemi! - i potrząsł głową smętnie. - Taki koniec nas wszystkich. Pokój mu na wieki, dość się napracował za życia.

- Lepiej wam teraz, graf sam mieszka.

- Lepiej? - podchwycił Fedko. - O! dobrze wam, że tego dobra nie znacie. Nie mówmy o tym, wyście, Ostapie, wychowaniec, ulubieniec.

- Ja! - i gorzko uśmiechnął się Ostap.

- A my - kończył pierwszy - nic by o nim dobrego powiedzieć nie mogli: kat na ludzi, nie pan.

- Co prawda, to prawda - przerwała Zoja żywo - nigdy u nas tego nie bywało, co teraz. Sam o niczym nie wie, nic nie rozumie, ekonom meczy i znęca się. Ja w fabryce.

- W jakiej?

- A! Sukiennicę[91] założyli.

- Janka jeszcze chcieli na flis wyprawić.

- Któż by pańszczyznę robił? - spytał Ostap.

- A któż, ja i żonka - rzekł Fedko ruszając ramiony.

- A koło domu?

- O! o to się nie pytają.

- Szczęściem - śmiejąc się dorzucił Janko - ja tak tęgo na nogę zakulał, że na flis nie poszedł. Dopiero gdy flisacy ruszyli, ozdrowiałem. A cóż było robić, kiedy nie można siłą, to chytrą siłą.

Bratowa, układwszy dziecię w kołyskę, przyszła do Ostapa i spytała w pół jego, w pół męża:

Czym by my gościa przyjęli? Wódki pewnie nie pijecie?

- Dziękuję - rzekł Ostap. - Dawno czarnego chleba, naszego chleba, nie jadłem, dajcie mi go kawałek; przyjmiecie mnie najlepiej.

- Suchym chlebem to tylko dziadów przyjmują! - zawołał Janko - wstyd nam chcesz robić, jakby to już u nas nic nie było więcej! Toć jest słonina, i...

- Chleba i wody! - powtórzył przybyły - nic nie chcę więcej; chleba czarnego, którym żyłem w dzieciństwie i wody z naszej krynicy.

- Ja świeżej przyniosę - wyrwała się Zoja wesoło i chwyciwszy wiadro w silną rękę, wybiegła szybko, zaśpiewawszy wesoło.

- Albo to tobie tęskno było za czarnym chlebem, na białym żyjąc? - spytał Fedko.

- Nie wierzysz? Nieraz za nim i za rodziną tęskniłem - smutnie rzekł Ostap. -

Swoja ziemia ciągnie ku sobie, choć gdzie i lepiej! - Strach bierze umrzeć na obcej.

- O! to prawda! - powtórzyła bratowa - nie to swoja ziemia, a nawet swój ką.

Niedaleko nasza wieś, a mnie i za nią tęskno. Jak wyjdziemy na pańszczyznę, oczy obracam ku drzewom, co to je widać w dali, aż mi słodko tam patrzeć.

Kiedy tak rozmawiają, a Janko podsyca hojnie łuczywo, aby chatę oświecić, zza warsztatu tkackiego podniosła się i zabielała postać dziwna, jakby z ciemnego nagle wyrosła kąta. Była to stara babka Kulina; rozniecony ogień padał na nią z boku i oświecał fantastyczny potwór, który gdzie indziej byłby każdego przeraził.

Wysoka, wychudła, w pół zgięta, z suchą żółtą piersią, której kości policzyć było można; napięta płachtą brudną powstała, wyciągnęła szyję pomarszczoną i rękę chudą, czarną, suchą. Koszula siwa, gruba, spódnica także i fartuch służący za pokrycie całe jej stanowiły ubranie. Na głowie rozczochrany siwy włos walał się z dawna grzebieniem nie tknięty, spod niego żółte skronie, na

których skóra do czaszki przyległa pomarszczona, sfałdowane występowały. Oczy głęboko białe, zagasłe, ledwie się ostatkiem życia świeciły jeszcze trochę, nos opadł na wargę dolną, a szczęka spodnia wzniosła się do góry. W tej chwili otwarte miała z podziwienia usta i z czarnego ich otworu sterczał jeden zęb niedojedzony.

Zbudzona ze snu Kulina wstała i wpatrywała się ciekawie w niezwykłą scenę.

Domyślała się, że to Ostap był przed nią, ale mary snów nocnych jeszcze się w jej głowie nie rozeszły, wątpiła, widzi li lub marzy.

- O tej porze, w nocy, co by tu robił?

Fedko trącił ręką brata i wskazał mu staruszkę.

Ostap pospieszył ku niej.

- A! to ty! to ty! - zakrzyczała płacząc - myślałam, że cię już oczy moje nie zobaczą, kochane dziecko. Bóg z tobą! powróciłeś! Ale stryja nie zastałeś!

Umarł!

I poczęła łzy ocierać schudzoną ręką.

- Jakże się masz? Jak się masz? Lepiejże tobie na świecie niż nam, moje dziecko!

niechaj się choć tym serce poraduje, dusza pocieszy!

Ostap nic nie odpowiedział.

- Milczysz? - rzekła. - I tobie nie lepiej! Tak się Bogu podobało, niech tak będzie. Ot, Bóg dał Fedkowi żonkę, a mnie prawnuka! A ty nie żenił się gdzie czasem za morzem?

- Ja! nigdy! nigdy! - przerwał Ostap - na co mi się żenić! Samemu ciężko na świecie, a we dwoje jeszcze ciężej.

- Lżej - rzekła stara - wierz mi.

Zoja wpadła do chaty z świeżą wodą kryniczną.

- Będzie wieczernica! - zawołała - cała wieś się wali do nas. Szłam po wodę, spotkałam się z Wasylem, chciał mnie zatrzymać, powiedziałam mu, że nie mam czasu, bo śpieszę do gościa; jak się dowiedział, kto u nas, tak pędem pobiegł do swoich. Ze wszystkich stron się schodzą.

- Nie trzeba było mówić - rzekł Ostap - kto wie, co pan o tym pomyśli.

- Prawda, prawda - przerwał Fedko - możemy się i później zobaczyć, a tak na razie pójdę, im powiem.

Jakoż pospieszył na podwórek, gdzie się już szmer nadchodzących słyszeć dawał.

Tymczasem Kulina narzuciła na siebie wyszarganą siermięgę, bo innych starzy nie noszą, i przysłała się na ławie, aby rozpytać lepiej Ostapa.

Postawiono chleb, sól i wodę przed gościem. Wziął w usta dawno niekosztowanego chleba i sparł się smutny na stole. Janko pobiegł już był za wódką do karczmy; żadne przyjęcie bez niej obejść się nie może; a choć Ostap oświadczył, że jej nie pije, przynajmniej postawić ją na stole należało.

Jeden tylko stary Roman Kroba wszedł uprosiwszy się u Fedka do chaty, inni, choć nękami ciekawością, dali się nakłonić do rozejścia, stanęli opodal i gwarzyli w ulicy. Roman był najpoważniejszym, najstarszym we wsi gospodarzem. Wysoki, silnej budowy, ogorzały na czarno prawie, z wygoloną po staremu głową, na której wierzchu trocha siwych włosów zostało, z zapuszczoną srebrzystą brodą, w siwej sukmanie, opierając się na kij, wszedł z pokłonem do chaty i ciekawie zbliżył

się do Ostapa.

- Kto by to powiedział! - zawołał po chwili - że to biedne dziecko na takiego panicza wyjdzie!

Pamiętam, jak u nas byli Francuzi, sierota chleba prosił - ot szczęście!

- Szczęściem to nazywasz, Romanie? - rzekł Ostap. - Oj, stary! ja wam zazdroszczę.

- Tać to gadać wolno - odpowiedział starzec kiwając głową - ale prawda prawdą.

Przynajmniej macie czas Panu Begu się pomodlić, podumać, odpocząć, a choćby popłakać. Człowiek i na to czasu nie ma. Mnie siedemdziesiąt kilka lat, a za pługiem jeszcze chodzę.

- Praca, mój stary, nie jest nieszczęściem.

- A cóż? - spytał naiwnie Roman.

- Niespokój w duszy.

- A jak ma być spokój, kiedy człek pracuje i rok cały przepociwszy się, na zimę i wiosnę ledwie kawałek ma chleba

- Wam na to nie narzekać - odezwała się Kulina - bo wy macie dwuletnie żyto.

- Ja, ale drudzy nie mają, wszystko to jedno. Dziś u mnie jest, jutro nie stanie. I mnie zniszczą, jak tamtych poniszczyli, co z samopłużnych[92] na ogrodników porzeczodzili.

- Cyt! - rzekła stara - a nu kto podsłucha?

- Ja to im w oczy powiem.

Kilka tak razy rozmowa, różnie poczynana, zawsze się na uzaleniach kończyła; ilekroć zejda się wieśniacy nasi, muszą wypowiedzieć, co im na sercu ciąży. I nie dziw, skarga wzdyma na chwilę żal i podnosi, ale potem lżej po niej.

Poczęły się częstowania w koło, kieliszek chodzić zaczął i utyskiwania z nim razem. Każdy opowiadał swoje dzieje, swoje utrapienia; przytomni często sami stękając z cudzych przygód się śmieli.

Jest litość w ich sercach, ale nie znajdziesz jej często na ustach; stąd najfałszywsze wypływają sądy. Łatwiej się jej czynem objawić niż wysłować.

Obraz, jaki w tej chwili wewnątrz chaty przedstawiało, wart był pędzla malarza, tak oryginalny i malowniczy. Wśród ogorzałych wieśniaków, biała, piękna twarz Ostapa jaśniała smutkiem i powagą obleczona, obok niej siwobrody Roman, zgrzybiała Kulina, rumiana i uśmiechająca się Zoja, smętna Fedkowa, ponury mąż jej, szyderski Janko - grupowali się w jedną całość na tle ciemnym, głębokim chaty żywymi blaski oświeceni. Zoja nie spuszczała z oka Ostapa; wesole dziewczę pamiętało go chłopięciem i kochało dzieciną będąc jeszcze. Teraz odżywały uczucia na widok dorodnego mężczyzny, ale bojaźliwie rachując, jak daleko było od niego do niej. Sto razy niebieskie oko kierowało się ku niemu i zwracało ku ziemi, poprawiała włosy, spoglądała po sobie, szukała, czy na nią nie spojrzy.

On nie patrzył. Cały zajęty starą i braćmi, nie uważał prawie siostry.

Czas upływał szybko i Ostap nareszcie zabrał się do wyjścia. - Przeprowadzę cię

- rzekł Fedko - wszak we dworze stoisz?

- We dworze, ale mi czas wracać, chodźmyż.

Wszystkich oczy przeprowadziły znowu wychodzących. Sami z bratem powoli szli ulicą.

- Teraz, kiedyśmy sami - rzekł Fedko z cicha - możesz mi powiedzieć i ja spytać mogę, co z sobą myślisz, bracie

- Alboż wiem? - rzekł Ostap - alboż o sobie myśleć i sobą rządzić mogę? Zrobię, co mi każą.

- To ciebie nie uwolnili?

- Nie, i nie spodziewam się tego. Graf mnie nigdy nie lubił.

- Cała nadzieja w panience, to dobre serce i gdyby mogła...

- Ależ możeż cokolwiek?

- W małych rzeczach, Bóg z nami! jakoś to będzie.

Ostap miał wracać się już do dworu, ale serce wiodło go gdzie indziej. Od pierwszego kroku za

wrota ciągnął się ku smętarzowi, mogiła matki i ojca wlokła go ku sobie. Ale żądanie to, wśród nocy, tak się musiało dziwnym wydać Fedkowi, że o nim nie śmiał wspomnieć. Aż przemógłszy się rzekł:

- Fedku, byłem u żywych, trzeba pójść pokłonić się umarłym.

- Gdzie? spytał drugi zdumiony.

- Na mogile.

- Po nocy?

- Tym lepiej, nikt nas nie zobaczy, a chce mi się uklęknąć i pomodlić za ojca i matkę. Pójdiesz ze mną?

Chwilkę namyślał się wieśniak.

- A duchy?

- Nic nam złego nie zrobią, idziemy z modlitwą.

- Chodźmy. A gdybyś był sam - poszedłbyś? - spytał Fedko.

- Poszedłbym.

- Już i ja się nie boję niczego w dzień, ale w nocy! Na smętarz! Pierwszy to raz tam będę.

Zawrócili się więc uliczką w dół, poza stodołami idąc ku wzgórzowi, na którym widać było kilka krzyżów i bramkę na wale otaczającym ostatnie pomieszkanie zmarłych.

Szli w milczeniu; Ostap dumał.

Otworem zastali drzwiczki, a mogiły chwastami zarosłe, wysoką trawą i tarnem[93].

Na prawo pod kamiennym krzyżem była mogiła Bondarczuków.

Fedko wszedł żegnając się i nie bez strachu; przybyły ukląkł i modlił się długo.

Gdy powstał, trzecia ciemna postać ukazała się nagle w drzwiczkach smętarza.

Fedko przeraźliwie krzyknął i odskoczył wołając:

- Duch! duch!

- To ja! - odpowiedział głośno Alfred - chodźmy!

- To ty? tutaj?

- Ja, czas wracać, pożegnaj towarzysza, ruszajmy; od godziny cię szukam, byłem niespokojny;

szczęściem postrzegłem dwa cienie ku smętarzowi się wlokące, domyśliłem się, że to ty.

To mówiąc wziął Ostapa pod rękę i rzucając Fedka, który miał słomiany kapelusz w rękach nie rozumiejąc, co to znaczyć miało pociągnął go za sobą.

- Musimy się rozmówić - rzekł Alfred uszedłszy kilka kroków. - Widzę ze wszystkiego, że ty z moim kochanym stryjem porozumieć się nie potrafisz. On w tobie widzi poddanego, chłopca, słowem, istotę... - nie mówmy o tym.

- Istotę, co nie warta zbliżyć się do niego.

- Pozostać tu nie możesz.

- Nie mógłbym, gdybym nie musiał.

- Właśnie o tym "musie" mówić mamy.

- Złamać go nie podobna.

- Ja myślę przeciwnie. Hrabia cię uwolni.

- Nie zechce.

- Ja, pozwól i nie obrażaj się, ja z nim o to traktować będę.

- Słuchaj Alfredzie - rzekł głosem pełnym wzruszenia Eustachy. - Winienem mu moje wychowanie, mam się czym wypłacić, wypłacę się pracą. Mógłbyś wprawdzie złożyć za mnie i zapewne myślisz o tym, ale ja na to nie pozwolę. Dość ludzi kosztowałem, czas samemu myśleć o sobie. Ciężki może, upokarzający los mnie czeka, ale go zniosę mężnie. Czuję w sobie siły. Jeszcze słowo: mam obowiązki, rodzinę, ludzi biednych, braci wieśniaków, których opuszczając samolubnie byłbym winien na sumieniu. Zostając tu będę im użytecznym - zostanę. Jakkolwiek wielki nas dzieli od siebie przedział, ja ich kocham.

Alfred w milczeniu uścisnął rękę przyjaciela.

- Posłuchaj mnie - rzekł - ślicznie mówisz, ale to są marzenia. Zostając tu, cóż ty potrafisz jeden, bezsilny przeciw wszystkim? Kochasz ich, a patrzeć będziesz zmuszony na męki braci, nie mogąc na to zaradzić. Co się tyczy kosztów położonych na ciebie, dopiero w tej chwili wyznać ci muszę, że większa ich część z innego, niż myślisz, źródła. Jesteś więc wolny. Zaklinam cię, pozwól mi mówić z hrabią. Z dzisiejszego przyjęcia widzę, jak mu ciężysz, zgodzi się na to łatwo. Później stałbyś mu się potrzebnym i byłbyś więźniem na wieki.

Ostap myślał.

- Zostanę tu - rzekł - nie mów, Alfredzie, że się na nic biednym braciom nie przydam; słowo pociechy, grosz posiłku, są wielką dla nich rzeczą.

- Ani słowa twego, ani grosza panem nie będziesz - przerwał pierwszy - zostając tutaj; oswobodzony lepiej im użytecznym być potrafisz. Zresztą może być, że się ułożę z hrabią o uwolnienie całej twojej rodziny.

- Rodziny - zawołał Ostap - cała wieś mi rodzina, wszyscy ci biedni braćmi, jedna w nas krew płynie. Alfredzie, a krew siła potężna. Czuję to w tej chwili.

Chybabyś uwolnił wieś całą i pozwolił mi zabrać kości rodziców, inaczej -
inaczej stąd pójść nie potrafię.

- Zimniej bierz rzeczy, Eustachy.

- O! gdybymże potrafił.

- W tej chwili może nie, ale namyśliwszy się...

- Myślałem o tym nieraz!

Alfred zamilkł.

Weszli w topolową ulicę wiodącą do dworu z boku i milcząc przebyli dziedziniec.

W pokojach Alfreda zastali nieznanego jegomości z ogromnymi, w półsiężyce, czarnymi bokobrodami, wytrzeszczonymi oczyma, wąsem zawieszonym, w surducie na wszystkie guziki zapiętym.

Alfred ze zwykłą sobie grzecznością przystąpił do niego, jakby pytał, co tu robi.

- Jaśnie wielmożny graf pozwoli, mam dyspozycje jaśnie wielmożnego pana.

- Dla mnie? - spytał Alfred śmiejąc się.

- A! uchwaj Boże, jaśnie panie. Do Ostapa Bondarczuka - rzekł z przyciskiem, głos podnosząc.

Alfred szczywaniał.

- Nim waćpan co masz mówić, powiesz - rzekł szybko - pozwól sobie oznajmić, że pan Eustachy jest moim przyjacielem i że choć go macie w skazkach[94], można by go grzeczniej nazwać.

- Z przeproszeniem jaśnie panie - odparł rządcą żywo - nie zwykłem do chłopów mówić inaczej.

Ostap, widząc, na co się zanosi, gdyż Alfred jeszcze za jedno słowo byłby wyrzucił za drzwi gburą, postąpił naprzód i rzekł spokojnie:

- Co mi pan rozkaże?

Rządcą dumnie zmierzwiwszy go wzrokiem, rzekł:

- Jasny graf chce, abyś wyjechał jutro rano do wsi Białej Góry i zajął się, szpitalem; Żyd arendarz ma polecenie go zawieźć, kwatera wyznaczona w bliskiej chacie, gdzie i charczować[95] będą. Dozór lazaretu pod jego odpowiedzialnością, gdyż dotąd był Moszko cyrulik, ale ten pójdzie precz. Furmanka przyjedzie jak świt. Bez zawołania i pozwolenia jaśnie wielmożny graf nie pozwala mu się oddalać ani krokiem.

- Dobrze, zrobię, jak mi każą. To cała dyspozycja?

- Jaśnie wielmożny graf kazał dodać, że ze swej łaski daje mu rocznej pensji sto złotych i odzienie.

Ostap nic nie odpowiedział; aby pojąć jak to mu bolesnym być musiało, dodajmy, że słudzy Alfreda byli przytomni.

- Proszę jednak pomimo dyspozycji - przerwał Alfred - wstrzymać się z wyprawą, bo ja o tym jeszcze z grafem mówić będę.

- Ja spełnić muszę - odrzekł wychodząc rządcą - czekać mi na to nie kazano.

Alfred, w którym krew wrzeć poczyniała, zerwał się i poleciał do pałacu.

W pokoju hrabiego paliła się jeszcze lampa i słudzy powiedzieli, że nie śpi; jak piorun wpadł tam jego brataniec.

Hrabia chodził z rękami w tył założonymi zamyślony.

- A! ty tu! o tej porze?

Zdawał się zmieszany.

- Przyszedłem! - zawołał hamując się Alfred - bo do jutra czekać nie mogłem z prośbą, którą mam da stryja.

- Cóż to jest? coś tak pilnego?

- W istocie, spać bym nie mógł z myślą, że jutro mi przyjaciela odbiorą. -

Kazałeś wyjeżdżać Ostapowi.

- Kazałem.

- Do Białej Góry, do szpitala?

- Najstosowniejsze miejsce, zdaje mi się.

- Kochany stryju - rzekł Alfred - o jedną cię łaskę proszę; nigdy może w życiu nie zażądam drugiej.

Jasna myśl jakaś przebiegła po głowie stryja; uśmiechnął się.

- Czegóż chcesz, powiedz mi, abym go uwolnił?
- Właśnie, ale nie żebyś go uwolnił. Wracam za niego koszta, jakie poniosłeś.
- Panie Alfredzie!
- Kochany stryju, to sprawiedliwe!
- Kochany bratańcze, a gdybym przyjąć nie chciał?
- Daję ci w zamian moich ludzi.
- A! zapewne! Ciekawym, kto tak utalentowanego zastąpić potrafi człowieka? -
rzekł stryj szydersko.
- Pieniądz - krótko odparł Alfred.
- To potrzebuje namyślenia i czasu - marszcząc się rzekł hrabia - a może całkiem go nie ustąpię.
- Stryju! nie wiesz, jak mnie srodze męczysz.
- Ciebie?
- To mój przyjaciel.
- Pozwól się przestrzec, że szczególniejsze dobierasz sobie przyjaźni.
- Patrzę na serce.
- Ale zdaje mi się, nie dość jest na nie patrzeć, winienes coś imieniowi, które oba nosimy, jako opiekun...
- Stryju kochany, jestem pełnoletni.
- Dziękuję za przypomnienie; jesteś zupełnie wolny. Rób więc, jak ci się podoba i pozwól mi powiedzieć sobie, żem pełnoletni także od dawna.
- Nie dasz się więc uprosić?
- Zostawiam do namyślenia.
- Ale takie postępowanie z takim człowiekiem...
- Jestem sędzią moich postępów - sucho odparł hrabia.

Zamilkli.

Alfred wziął za kapelusz.

- Życzę dobrej nocy i żegnam - rzekł.

- Jak to, żegnam?

- Wyjeżdżam jutro rano.

- Cóż to jest?

- Po prostu wyjazd, kochany stryju.

Hrabia udał, że się trochę pogniewał, ale nic nie rzekł, wyciągnął rękę i uklonił się.

Alfred wyszedł.

Stryj spojrział na drzwi i pocierając ręce rzekł do siebie:

- Wybornie; dwóch razem się pozbędę. Misia zostanie księżną. I uklonił się ku drzwiom szydersko i zatarł ręce śmiejąc się jakimś śmiechem suchym i nielitościwym.

VI

Alfred wychodził gniewny, pomieszany, niespokojny z pokoju stryja i wracał szybko do swego mieszkania, gdy w korytarzu spotkał idącą naprzeciw siebie Misię.

Z twarzy poznać było można silne wzruszenie i oburzenie jej.

- Słyszałam wszystko - ozwała się do Alfreda prędko.

- Słyszałaś?

- Wróć ze mną.

- Dokad?

- Pójdziemy do niego raz jeszcze; spodziewam się go przekonać.

- Bardzo ci dziękuję w imieniu moim i jego - odparł Alfred - ale to mi się zdaje na próżno. Gdyby o życie chodziło, nie zwykłem prosić dwa razy.

- Nadtoś dumny, kochany kuzynku, gdyby o własne życie chodziło, nie mówię, ale gdy chodzi o kogoś innego, o cudzą sprawę? Pozwoliłbyś się znęcać nad nim, nie chcąc spróbować nawet?

- Słyszałaś, próbowałem - rzekł Alfred.

- Pozwól mi przyjść w pomoc: zdaje mi się, że użytecznym będę sprzymierzeńcem.

- Próbuj, Misiu, ale uwolnij mnie od kroku.

- Będę śmielszą, jeżeli pójdiesz ze mną, proszę cię, chodź.

Alfred zastanowił się chwilę, pomyślał i zawrócił.

- Służę ci.

- Dziękuję, chodźmy.

Z powagą spokojną otworzyła Misia drzwi pokoju ojca, który jeszcze chodził żywo mówiąc sam do siebie. Widząc ją wchodzącą z Alfredem, zastanowił się, ruszył

ramionami, namarszczył.

- Spotkałam Alfreda, który mnie żegnał; chce jechać jutro rano, papo. Co to ma znaczyć? - spytała Misia.

- Nie wiem - odrzekł hrabia pomieszany - nie rozumiem zupełnie.

- Papo drogi, to nie jest naturalne, wytłumacz mi, proszę. Rachowałam wiele na przybycie t y c h p a n ó w; a oni uciekają ledwie się pokazawszy. Proszę cię, wytłumacz mi to.

- Nie mogę przytrzymać Alfreda; powiedział mi, że jest pełnoletni.

- Ale o cóż tu poszło? - przerwała Misia niecierpliwie - widzę, że czegoś nie wiem. Jakieś nieporozumienie?

- A! - dorzucił hrabia tupiąc nogą - nie udawaj, wiesz dobrze. Chodzi tu o chłopca, którego chcecie wszyscy na panicza wystrychnąć, żeby nam kiedyś jak Gonta[96] Potockim się wywdzięczył - dodał złośliwie się śmiejąc. - Ale z tego nic nie będzie.

- Prosiłem i najmocniej proszę stryja, aby mi chłopca tego, jak go nazywa, którego ja moim przyjacielem głoszę, odstąpił. Płacę za niego.

- Nie szafuj tak - rzeki hrabia - nie masz czym.

- Zdaje mi się, że na to wystarczy?

- Na to? zapewne, ale jeśli donkiszotować[97] zechcesz, niedługo to potrwa.

- Przygotowany jestem na to.

- Bardzo szczęśliwie! Winszuję.

- Papo kochany - spytała Misia - co myślisz z Ostapem? Mama poleciła go mi umierając. Jestem jego protektorką. Mnie to więc najbardziej obchodzi. Chcę wiedzieć, co z nim robisz?

- Ja ci powiem - rzekł Alfred. - Rządca przysłany dyspozycję mu przyniósł; aby jutro rano odjeżdżał na żydowskiej furmance do Białej Góry, gdzie ma Moszka cyrulika zastąpić z pensją sto złotych i mieszkanie w chacie chłopskiej.

- Skąd wyszedł, wraca. - dodał hrabia.

- Ciekawa bym - zawołała Misia - czy on winien, że wyszedł ze swego stanu? Myśmy temu winni, mamy więc obowiązek.

- Wrócić go we właściwą sferę - rzekł ojciec. - Proszę cię, droga Misiu, nie mieszaj się do moich rozporządzeń i nie ucz mnie, co mam czynić.

- To ostatnie słowo twoje, papo? - spytała śmiało Michalina.

- Zdaje mi się, że na ten raz ostatnie.

- Ja z Eustachym jadę do Białej Góry - poparł Alfred - uczyłem się także medycyny, będziemy oba przy lazarecie.

- Waćpan uczyłeś się medycyny! - zakrzyczał głosem zmienionym hrabia - waćpan uczyłeś się medycyny! Ty! to być nie może! - powtarzał coraz bardziej błędnie i mieniając się - medycyny! Ty, hrabio, którego przodkowie...

- Uczyli się zadawać rany, ja leczyć - rzekł zimno Alfred. - Alfredzie! to być nie może! - rzekł stryj przyskakując bliżej.

- Tak jest, stryju, uczyłem się więcej czegoś - jestem jeszcze rymarzem.

Hrabia najzupełniej osłupiał.

Misia pomimo niespokojności, jaką ją nabawiała ta scena, na widok przestraszonego ojca śmiechu ukryć nie potrafiła.

Zmienione rysy twarzy, przeciągnięta twarz hrabiego świadczyły, jak boleśnie dotknęło go wyznanie Alfreda.

- Na imię nam wspólne zaklinam cię - zawołał - na wszystko wielkie, szlachetne i święte zaklinam cię, nie mów tego, nie powtarzaj nikomu. To szaleństwo!

Alfred milczał; dziwna myśl mu nadbiegła nagle.

- Jeśli hrabia uwolnisz Ostapa, milczę - rzekł.

Stryj rzucił się w krzesło, otarł pot z czoła, milczał.

- Nie tajno ci - odezwał się po chwili - że umierającemu bratu dałem słowo opiekować się tobą, strzec ciebie i starać się ostatniego po mieczu z naszego rodu wywieść do dawnej świetności i znaczenia naszej rodziny. Nie taję także...

miałem myśl... sądziłem... że może... że jeśli... - począł się jękać.

Michalina przerwała.

- Żeś mnie Alfredowi przeznaczał...

- Nie przeznaczałem, ale myślałem, spodziewałem się...

- Nie umiem wyrazić mojej wdzięczności - przerwał Alfred - ale takie szczęście rad bym u Michalinki najpierw wyjednać dla siebie. U niej o nią starać się chciałem, nie inaczej.

Misia podziękowała mu wzrokiem. Hrabia ciągnął dalej.

- Po takim wyznaniu myśl moja całkowicie upada; związek staje się niepodobieństwem. Nadto daleko rozeszły się nasze sposoby pojmowania przeszłości, ludzi, rzeczy, nadto po swojemu widzisz świat. Nie myślmy więc o tym więcej. Uwalniam twego przyjaciela c y r u l i k a i zostawiam ci wolność zajęcia się medycyną i r y m a r s t w e m, ale od tej chwili związki między nami ustają na

zawsze.

Alfred zimno się uklonił. Misia milczała.

Hrabia wysapać się jeszcze nie mógł.

- Godzę się na twoje warunki, stryju, i poddamę im, bylebym miał zupełne, prawne i formalne ustąpienie człowieka tego, jeśli człowieka ustępować i przedawać można! Co się tyczy projektów dawnych, o tych ziszczeniu Misia, zdaje mi się, najlepiej ma sądzić prawo.

- Misia nie ma najmniejszego prawa! - zawołał hrabia.

- Sądzisz, papo, tak?

- Proszę cię, Misiu...

- Oznajmuję papie, że jutro wyjeżdżam do ciotki, tam przynajmniej będę miała prawo widywać, kogo mi się podoba. Dobranoc papie i żegnam go.

Nie czekając odpowiedzi żywo podała Alfredowi rękę, zawróciła się i wyszła.

On uklonił się z daleka stryjowi i zniknął.

Było już blisko północy; stary pogrążony w dumaniu siedział jeszcze za stołem zamyślony i nie kładł się; co się z nim działo, odmalować nie potrafię. Co chwila wyrzywały mu się z ust wyrazy:

- Medyk! rymarz! C'est di.stinguë! c'est joli çal[98]. A! rymarz parfait![99]

Ale on chyba kłamie! on kłamie.

Alfred tymczasem wpadł do swego mieszkania pędem i kazał pakować.

- Jesteś wolny - rzekł do Eustachego - jedziemy nie czekając dnia.

- Ja nie mogę jechać.

- Mam słowo stryja, jesteś wolny, musisz jechać ze mną.

- Mówiłem ci, Alfredzie...

- Nic nie słucham; wszystko to, co powiedzieć, co pomyśleć możesz, na później; teraz jedziemy razem do Skały.

- Ale ja - przerwał jeszcze raz Eustachy.

- Na wszystko cię zaklinam, musisz! jedziesz!

Wydane rozkazy z szybkością wykonane zostały; kocz w chwili upakowany, zaprzężony i księżyc

jeszcze się nie spuścił ku zachodowi, gdy Alfred, usadziwszy przy sobie prawie gwałtem Eustachego, wyjechał.

Misia z równą niecierpliwością poleciła swoim ludziom gotować się do drogi postanowiwszy odjechać do ciotki.

Majątki hrabiego, Alfreda i pani Krystyny leżały razem sąsiadując z sobą.

Składały one niegdyś jedną wielką całość, rozbite na trzy części teraz, zajmowały kawał kraju dość znaczny, największą częścią należąc do hrabiego, w najmniejszej do Alfreda, który miał tylko Skałę z kilku folwarkami przyległymi.

Ciotka Michaliny, a siostra hrabiego, niegdyś kobieta wielkiej piękności, sławna na Wołyniu z dowcipu, wdzięków i gościnności, owdowiała od lat wielu, sama z córką, wdową także, zamieszkiwała w Surowie.

Musimy tu choć w kilku słowach odmalować ją, gdyż wpływ pani Krystyny na Misię był wielki i rzec można, ona ją uczyniła, czym była. Zadziwiającej piękności, bogata, spędziwszy część życia we Francji, część jego w kraju, gdzie przywykła do hołdów, uszanowania, uwielbień, siostra hrabiego nie rozumiała, co to jest stosować się do czyjejś woli, być komuś posłuszną. Jej wyobraźnia o losie, przeznaczeniu i znaczeniu kobiety w towarzystwie były przesadnie p o s t ę p o w e, że użyję tego wyrażenia. Naczytawszy się książek XVIII wieku i nowszych, w całym życiu posłuszna tylko własnej woli, pani Krystyna utrzymywała, że kobieta ma prawo do wszystkiego, do czego prawo ma człowiek. Nie rachując ani sił, ani usposobień właściwych kobiecie, mówiła ciągle o zrównaniu jej w prawach z mężczyzną, o upokarzającej podległości, jaką prawa pisane przez wąsatą połowę rodzaju ludzkiego na nią kładły. Takimi zdaniem napoiła córkę naprzód, Michalinę potem, którą łatwo owdowiała. Zestarzała, nie zmieniła się wcale i pozostała wierna wyrobionemu przekonaniu. Stan jej wdowi, zostawiając panią swej woli, przyczynił się zapewne do utrzymania w nim.

Dom pani Krystyny zawsze po staremu otwarty dla gości; ona i córka, wdowa także, ale bezdzietna, gospodarowały w nim same. Córka, jednego sposobu myślenia z matką, różniła się przecie od niej tym, że pierwsza była tylko, co nazywano esprit fort[100], druga zupełną l w i c ą. Musimy dodać, że życie obu pań pomimo ich zasad nie miało na sobie najmniejszej plamki; a najzjadlejsi nieprzyjaciele na próżna szukali, czym by je oczernić mogli. Hrabia, jak się łatwo domyśleć, nie lubił siostry, ale słaby zawsze, nie potrafił zapobiec wpływowi jej na córkę, nie miał odwagi zerwać z nią stosunków. Michalina pod przewodnictwem ciotki i pani des Roches, nastrożonej i umieszczonej przez nią, przejęła całkiem sposób myślenia panujący w Surowie.

Surów i Skała sąsiadowały z sobą; jakeśmy powiedzieli, o małą tylko milkę, a dwie niespełna dzieliły Surów od rezydencji hrabiego.

Nazajutrz rano Misia i pani des Roches siadały do wiedeńskiego coupe[101] i nim hrabia wstał, były już w Surowie. Przebudzony, zaledwie miał czas przetrzeć oczy, gdy mu oznajmiono, że brygadier z synem odjechał, że córka wyjechała, że Alfred w nocy z Eustachym do domu powrócił.

- Wiem o tym - rzekł zimno służącemu.

Wstał w najgorszym humorze, gdy rządca pospieszył oznajmić, że dyspozycja względem Ostapa nie mogła być spełniona z powodu jego wyjazdu. Kazał pójść precz panu rządcy.

- Jaśnie wielmożny graf każe ścigać?

- Nie mieszaj się waćpan do tego!

Znowu sam pozostał; a wiedzieć potrzeba, że nic go tak nie dręczyło jak samotność. Czytać nie lubił, interesami z obowiązku tylko się zajmował, towarzystwo było mu nieodbicie potrzebnym; zostawiony sam sobie, z niecierpliwości przechodził w rozdrażnienie kończące się bezsilnym osłupieniem.

Cały dzień próbował najrozmaitszych zajęć, ale na próżno; nic mu nie szło, a co gorsza, nic go prawdziwie zająć nie potrafiło.

Alfred tegoż dnia pojechał do Surowa; namawiał on, ale na próżno, Eustachego, aby z nim jechał.

Pierwszym pytaniem Misi, zaledwie spostrzegła brata, było:

- A Eustachy?

- Nie chciał jechać.

Pani Krystyna przyjęła Alfreda najczulej; zarzucono go tysiącem pytań, nie dano mu odetchnąć. Musiał im opowiadać swoje podróże, przygody i opisywać Eustachego, którego byli ciekawi. Jak każda rzecz niezwykła, los sieroty zajmował

wszystkich. Pani Krystyna w imię swych zasad brała go w protekcję, Misią zaś tak gorąco, tak żywo mówiła o nim, tak nieustannie naprowadzała rozmowę na ten przedmiot, że w końcu Alfred pierwszy począł z tego żartować.

Michalina zarumieniła się i zmieszała.

- A! a! - zawołała starsza gospodyni domu polegając od śmiechu - a! mój brat!

mój brat skonałby, zdrętwiał, rozum postradał, gdyby mu to na myśl przyjść mogło. Wystawcie sobie! Mais c'est une enormité![102]

Obrócono w śmiech przypuszczenie.

Michalina jednak najmniej się z tego śmiała.

Alfred, przywykły do badania ludzi, postrzega łatwo, że olbrzymia hipoteza[103]

bliższą była może prawdy, niż się wszystkim zdawało.

W istocie Michalina czuła już ten dziwny, niewytłumaczony pociąg ku jedynej istocie wyróżniającej się swym położeniem z tłumu, pociąg, co często niedostrzeżonym rodzi się sposobem. Najprzód

litość, potem ciekawość, wreszcie może i duch przeciwności zbliżyły ją ku pierwszemu człowiekowi, który, jak mówiła, ne ressemblait pas a tout le monde[104].

Nasze cywilizowane towarzystwo tak jednostajnie gładkie, tak jednakowo nudne, tak umundurowane podobnie cielesnie i umysłowo, musi nieraz budzić chętkę nowości i spowodować, że jej dajemy pierwszeństwo.

Misia padała ofiarą znudzenia, jakiego doznawała w najlepszym wprawdzie społeczeństwie[105], ale nieskończenie jednostajnym.

Są, którym ten stan dogadza i podoba się, ale żywszy umysł przestać na tym nie może. On szukał i gonił za sprzecznościami, za indywidualnościami, częstokroć nie najpiękniejsze nawet, byle wybitne wybierając. Może i wspomnienia dzieciństwa, kiedy małemu chłopięciu kazano bawić panienkę, kiedy byli razem często, długo, przyczyniały się do wzbudzenia uczucia, w którego rozbiór wchodzić nie pora.

Hrabia wytrzymał w osamotnieniu tydzień, spodziewał się córki co chwila; przysyłano tylko po coraz więcej rzeczy, ale Misia ani pisała, ani obiecywała powrotu. Znudzony wreszcie i przywiedziony do rozpaczki prawie, puścił się do Surowa z gniewem.

W Surowie nie zastał tego dnia nikogo, wszyscy byli zaproszeni na podwieczorek do Skały. Z początku chciał i on tam jechać, ale rozmyśliwszy się, że zastanie Eustachego, kazał zawrócić do domu.

Eustachy był tam jeszcze; ale był już na wyjeździe. Głęboki smutek, zamiłowanie samotności, unikanie od towarzystwa, w którym się zawsze widział intruzem zawadzającym, rozwiązały się wreszcie gwałtownym przedsięwzięciem. Postanowił

wyjechać do Warszawy, skryć się i zniknąć. Kto wie? może nadzieja pozyskania sławy, wzniesienia się kiedyś, pędziła go także, choć się do tego nie przyznawał.

Alfred, którego baczne oko dostrzegło zbyt czynnego zajęcia Michaliny przybyszem, nie sprzeciwiał się temu, owszem, pochwalał myśl wyjazdu.

Misia nie wiedziała o postanowieniu. O ile Eustachy, z uszanowaniem i czcią, unikał jej przecie, o tyle ona go szukała. Zmusić go prawie trzeba było, aby się pokazał w Surowie; a podwieczorek w Skale doradziła Michalina.

Pani Krystyna poczyniała się zamyślać, widząc to nietajone, dziwnie popędliwe, namiętne pragnienie zbliżenia się krewnej tak bliskiej do człowieka, który na szczeblu klasyfikacji towarzyskiej stał tak od niej daleko. I ona mówiła Alfredowi na ucho - niechaj jedzie. Wieczorem był ów podwieczorek w Skale nad brzegiem rzeki, w cieniu starych dębów zastawiony. Ostap musiał się tam znajdować. Michalina wyciągnęła go na rozmowę i nie zważając na przytomność kilku obecnych osób, pozostała z nim na ławce nie puszczając od siebie, ile razy chciał odejść.

Położenie Eustachego było dręczące.

Młody, z całą żywością niespotrzebowanych i nierozwiniętych uczuć, wystawiony na blask oczu, na uroczy uśmiech i tęskne słowa kobiety, która widocznie mu okazywała, że jej nie był obojętnym, w uczuciu obowiązku, w pojęciu swego położenia szukać musiał broni przeciw rodzącej się namiętności. Gdy się mieli rozjeżdżać, pożegnał Michalinę, która nic o zamiarze wyjazdu nie wiedziała jeszcze.

- Pozwól pani - rzekł - pożegnać się na długo, może na zawsze.

- Jak to, pan odjeżdża? dokąd?

- Muszę, jadę.

- Ale dokądże, bez naszej wiedzy?

- Sam nie wiem, w świat, gdzie oczy poniosą; pozostać tu nie mogę.

- Ja nie widzę przyczyny! - zawołała Misia.

- Alfred sam radzi mi wyjazd, ja widzę jego potrzebę, a jakkolwiek boleśnie rozstać mi się z tymi, którym winienem wszystko, których skrzydła anielskie osłaniały mnie dotąd, muszę i w potrzebie kroku tego czerpię siły do spełnienia go. Przyjm więc pani pożegnanie od tego, który za nią, za ojca jej gotów jest krew swoją przelać, oddać życie.

Michalina spuściła głowę, zamilkła.

- Jedziesz pan - odezwała się po chwilce - nie umiem mu odradzać, choć nie rozumiem nagłych do tego przyczyn; jedź więc, ale nie zapominaj o nas.

- Nigdy ! - zawołał z zapalem młodzieńczym Ostap podnosząc ręce. - O! nigdy! A jeżeli w jakimkolwiek razie potrzebnym będzie życie moje, zawołajcie - przybędę i oddam je z rozkoszą.

Dwie łzy zakręciły się w oczach Misi.

Zaczęto się żegnać i wyjeżdżać. Alfred z Eustachym przeprowadzili gości aż pod Surów.

Nazajutrz rano pocztowe konie w prostym wózku uniosły z tumanami pyłu doktora Eustachego ku Warszawie.

Nie pójdziemy tam za nim; pozostać musimy w Surowie i Skale.

Hrabia coraz bardziej udręczony samotnością pisał do córki, która mu odpowiedziała, że chce jeszcze pozostać przy ciotce. Dwojako dręczył go pobyt ten w Surowie: raz, że został osamotniony, bo zwyczajni goście, pretendenci do ręki Michaliny, przenieśli się do domu ciotki; po wtóre, że bliskość Skały, codzienne odwiedziny Alfreda, niespokojnym go czyniły. Od czasu zaś jak brataniec wyznał mu, że się uczył medycyny i rymarstwa, hrabia nie mógł nawet przypuścić, aby jego córka była żoną człowieka, co splamił się rzemiosłem!

Michalina smutna, spoważniała, zadumana od wyjazdu Eustachego oddała się malarstwu, które była jakiś czas zarzuciła, szukając w nim teraz rozrywki.

Alfred zajął się czynnie gospodarstwem, interesami i z wielką zgrozą hrabiego począł włością swoich leczyć, a nawet niektórym krew puszczał! Stryj wzdrygał

się i przysiągł, że nie tylko zięciem go mieć nie chce, ale się go wyprze jako bratańca. Zrozumiawszy obowiązki pana i obowiązki człowieka, to jest stosunek do siebie i do ludzi, Alfred nie w próżnowaniu i w zabawkach, ale w pracy począł

nowe życie. Przejazdki do domu pani Krystyny i kilku sąsiedzkich stanowiły całą jego rozrywkę; resztę czasu poświęcał czytaniu, rządowi majątku i chorym swoim.

Stryj nie mógł pojąć, jak towarzystwo nie odepchnęło od siebie człowieka, co się skalał lancetem[106], co przyznawał się do rymarstwa publicznie, pomimo danego przyrzeczenia hrabiemu, gdyż Misia pierwsza wydała tajemnicę, a potem już nie było co ukrywać; jak mogli u niego bywać, żyć z nim ludzie d o b r e g o r o d u. Przecież, z niewymownym zmartwieniem hrabiego, wszyscy bywali w Skale i Alfreda przyjmowano wszędzie najuprzejmiej.

Pół roku upłynęło bez żadnej zmiany; Michalina zawsze była u ciotki. Hrabia coraz częściej szukał za domem towarzystwa, którego na próżno u siebie wyglądał.

Alfred urządziwszy sobie, jak powiadał, życie, nie zmieniał go. Co uspokoiło trochę naszego pana, to, że między bratańcem a córką nie dostrzeżono - o co się pilnie dowiadywał - żadnego wzrostu poufałości ani ściślejszych stosunków.

VII

Chłodny wiatr jesienny z deszczem kroplistym szaleje po obnażonych, żółtych i czerniejących polach; chwyta dymy z wiejskich polatujące kominów i rozbija w powietrzu. Ostatki liścia sypią się z drzew ponachylanych do ziemi, chmury szare, poszarpane, postrzępione suną się od północy na południe. Na dworze ciemnieje. Pustką stoi droga przechodząca wieś hrabiego, żywej na niej nie ma duszy, kilka psów wyje na progach domostw, z których komina nie podnosi się dym, okna wybite i wrota obalone.

W końcu wsi dwóch ludzi zajęci robotą mimo spóźnionej pory.

Na rozmokłej od deszczu ziemi leży z cienkiego dębczaka wyrobiony krzyż niski, zaledwie z gruba wyciosany. Obok wykopana jama i odrzucona ziemia.

- Chmurzy się i ciemni - szepnął Fedko wzdychając - nie damy dzisiaj rady, odłożmy do jutra.

- Oj, nie, bracie, kiedy robić to dziś, kiedy to Panu Bogu miło, stawmyż co prędzej, niechaj nas poratuje!

Fedko spojrział w niebo i westchnął.

- Czas bo dobrze, żeby nas Bóg poratował;

- A dobrodziej mówi, że we wszystkich wsiach, gdzie krzyża postawili, pomogło!

- No, znieśmy!

I pochwycili przygotowane drzewo zapuszczając je powoli w jamę.

- Niechże będzie Bogu na chwałę, a nam na ratunek! To mówiąc poczęli obsypywać krzyż i ubijać ziemię.

- Wiele dusz[107] dziś umarło? - spytał Janko.

- Nie wiem, wczoraj dziesięciu wynieśli na mogiłki, dziś powiadają więcej.

- Co dzień więcej.

- I we dworze już poczęli mrzeć.

- Nasz pan miał wyjeżdżać de miasta. Jakby w mieście skryć się było można przed mocą bożą!

- Wyjechałże?

- Podobno nie jeszcze. Ale ludziom zakazano chodzić na wieś a nawet do oficyn, gdzie żona komisarska umarła.

Skończywszy obsypywać krzyż i pomodliwszy się, poszli powoli wsią ku chacie.

Fedko zadumany, Janko we łzach.

- Nie ma po co do chaty - rzekł zbliżając się - stara na mogiłach, twoja z dzieckiem także. Zoja lada godzina pójdzie za nimi, a i nas toż samo czeka.

Darmośmy zaorali i zasiali, Kto inny zbierać będzie.

- Minęli jedną i drugą chatę całkiem pustą i weszli na swoje podwórko. Oba rzucili oczyma smutnymi dokoła. W chacie cisza i jęk tylko stłumiony dobywał się z świetlicy.

- Jeszcze żyje! - rzekł Janko.

- Wody! wody! - dał się słyszeć głos z izby.

- Chodźmy! - żywo zawołał Fedko - lżej będzie umierać przy nas, nie samej, opuszczonej.

To mówiąc weszli na próg. W pośrodku na wilgotnym toku i cienkim sienniku leżała skurczona, okryta dziurawą siermiężką Zoja. Trudno było ją poznać, tak straszliwie twarz rumianą i życia pełną wykrzywiła, spoczwarzyła słabość. Zgasłe oczy świeciły jeszcze w sinych i opadłych policzkach; ściśnięte konwulsyjnie ręce trzymały siermiężkę pod szyją, usta otwarte zdawały się szukać powietrza, wzrok obłąkany chodził kołem po izbie. Niekiedy z cicha, odzywała się:

- Wody! wody! zimno!

To znowu:

- Pali mnie!

I znowu:

- Zimno! Matuniu, okryj! A! zanieście gdzie mnie w ciepło! Nie ma nikogo...

wszyscy umarli... Jezu Chrystusie, zmiłuj się nade mną!

Bracia stanęli i popatrzali na nią płacząc.

- Gdyby jej co ciepłego! - rzekł Janko. - Mówią ludzie, że to pomaga.

- A skąd ognia?

- Będę miał siłę rozkrzesać i rozpalić!

- Ale z czego? Drew nie ma.

- Prawda, ale płoty są.

I wyszedł, a wkrótce zatrzeszczał częstokół przed chatą i Janko powrócił z oberemkiem[108] na ramionach. Wniósłszy je jednak, usiadł, zrobiło mu się słabo, oczy zasły mgłą, zatrząsł się.

- Wiesz, Fedko - rzekł - mnie coś źle.

- I tobie?

- O! zimno! - odparł Iwan - we środku zimno. Jakby wiatr chodził po mnie, i palce pokostniały. Ale taki ognia rozpalę, bo Zoi trzeba czegoś ciepłego. Ona dawno słaba; może pozdrowieje. Zwlókł się więc i na siłę dobył ognia, począł go rozdmuchiwać, ale przemokły ad deszczu kawał płota nie zapalał się. Trzeba było porąbać ławę suchą, aż od niej dopiero ogień się zajął i buchnął żółtym płomieniem. Chora zwróciła oczy na ognisko i nie spuściła ich z niego. Janko nastawił garnek wody, a Fedko usiadł przeciw siostry sparłszy się na rękę i płakał.

Kilka głosów dały się słyszeć w ulicy; spojrzeli wąskim okienkiem. Para wołów ciągnęła wóz, na nim kołysały się trzy razem postawione, z lichych desek zbite trumny; stary dziad poganiał, dziecko nagie do połowy, bose, płaczące, czepiało się kół i boleśnie łkało.

- To już reszta z tamtej chaty! - zawołał Fedko.

- Troje!

- Troje! Tylko Roman jeszcze żyw i woły pogania, a wnuczę bieży za nim.

Gdy to mówi Fedko, zastanowił się[109] wóz nagle i krzyk dał się słyszeć przerażający, zaraz po nim płacz bolesny dziecka.

- A to co? - spytał Janko, który od ognia nie odstępował.

- Co? stary Roman w ulicy padł i leży, dziecko nad nim, a woły z trumnami stanęły. Porzucimże tak starego Romana?

- A cóż zrobim z nim?

- Jest u nas miejsca aż nadto - rzekł Fedko - znieśmy go tu. Ja odwiozę umarłych i pochowam.

Nic nie odpowiedział Janko, tylko wstrząsając się od zimna wstał i zbliżył się do drzwi.

Wtem Zoja poczęła wołać:

- Nie porzucajcie mnie, nie opuszczajcie!

- Zaraz powrócim - rzekł Fedko.

Wyszli na ulicę: przed samymi wrotami chaty stary siwobrody Roman leżał

rozciągnięty na ziemi, siny i ledwie żyw; na jego piersi ostygłej wnuczę ostatnie, objąwszy szyję rękami, wołając rzewnie dziada i płacząc leżało. Dwa czarne woły z spuszczonej głowy, rozparte stały nad nim. Kudłaty pies schodzony wył pod wozem.

Sami, osłabieni chorobą, pracą i niedostatkiem, Fedko z Iwanem ledwie udźwignąć potrafili starca i spoczywając, wnieśli go przecie do świetlicy, położyli na pustym łóżku, okryli.

Fedko wziął rydla.

- Pilnujże chorych - rzekł - a ja pójde grzebać umarłych. Dziecię siadło przy łóżku bezprzytomnego starca i rozpadało się z płaczu. Janko grzał się przed ogniem i wodę gotował.

- Wody! wody! - wołała Zoja.

- Wody! kozucha! - stękał starzec.

- Tatko ojcze! - płakało dziecko.

Wicher wył na podwórzu i deszcz przebijający zgniły dach ściekał po ścianach chaty. Obraz to był straszliwy.

Ledwo sam trzymając się na nogach Janko napoił naprzód siostrę, potem starego, pookrywał, dał dziecku ostatek chleba, bo więcej go upiec komu nie było, rozniecił większy ogień i skuliwszy się w kącie chorobliwie drzemać począł. Siły go powoli opuszczały, uchodziły, sen napadał i dreszcz.

Dzwon cerkiewny dawał się powoli słyszeć wśród wiatru, chwilami dźwięczał, to znów ustawał, głosy przerywane przestrachu, bóleści dochodziły uszów; wicher się wzmagił. Janko kilka razy otworzył oczy i zamknął je znowu; czuł, że nowe jakieś grozi niebezpieczeństwo; ale powstać, ratować się nie było siły. Opadał na przyzbę, tulił się, drżał, kurczył.

Na dworze ciemniało coraz, chmury naciągały czarne, wiatr się rwał do strzech, które obnażał, do drzew łamiących się, powyginanych, rozdartych. W drugim końcu wsi świeciła łuna pożaru i rozszerzała coraz bardziej. Z dachu na dach przelatywało płomień wzmagające się, wiatr poddymał; nikogo przy ogniu.

Ze dworu nikt wybiec nie śmiał na wieś, na wsi nie było komu ratować; puste już chaty po cholercze żarł rozniecony pożar. Kilka tylko cieniów czarnych ruszyło się koło ognia: byli to chorzy, co się grzać biegli, przejęci dreszczami, poprzedzającymi zwykle rozwinięcie słabości. Dzwon, poruszony bezsilną ręką, słabo się odzywał.

Wtem zadzwoniło na trakcie; bryczka zaprzężona trzema końmi wstrzymała się naprzeciw pożaru. Silny głos podróżnego zabrzmiał nad uszami nieprzytomnych ludzi, co się przy płonących węglach rozgrzewali. Słusznego wzrostu, silnej budowy mężczyzna począł drapać się na dach najbliższy, jeszcze nie spalony, snopki pokrywające go odrzucać. Za jego przykładem poszedł woźnica i kilku ludzi nadbiegłych. Dym czarny i gęsty ustawał, deszcz ulewny pomógł do ugaszenia ognia, który się ograniczył tym, co już zniszczone było.

Rzucając na dachu ludzi, przybyły Ostap pędem pobiegł ku chacie, gdzie Janko, Zoja i Roman stękali nieprzytomni i pomocy bożej, nie rachując już na ludzką, wzywali.

Wbiegł, spojrzał, załamał ręce; a dostrzegłszy przy ogniu dogasającym uspiętego Janka, wstrząsnął

nim.

- Gdzie brat? gdzie żona? gdzie Kulina? - zawołał.

Janko wytrzeszczał oczy, otworzył usta, ale odpowiedzieć nie mógł. Nanieciwszy ognia większego, rzucił płaszcz i z westchnieniem począł Ostap zajmować się chorymi. Wszystko potrzeba było robić samemu: podnosić ich, opatrywać, okrywać i poić. Przygotowane lekarstwo, które miał przy sobie, spłynęło z kolei w usta Zoi, Romana i Janka. Zrobiwszy, co mógł, siadł, podparł się i znużony pozostał

jak przykuty do miejsca, niekiedy jękiem, westchnieniem chorych zbudzony tylko z odrętwienia.

- To nie wszystko - rzekł w duchu.

Powstał i zabierał się do wyjścia. Wtem wszedł Fedko z rydłem w rękę. Bracia uściskali się w milczeniu.

- Babka? - spytał Ostap.

- Umarła.

- Żona twoja?

- Umarła.

- Dziecię twoje?

- Umarło.

- Co się dzieje we dworze?

- Wracając ze smętarza spotkałem ludzi dworskich jadących po doktora. Pan zachorował.

- W sam czas przybyłem! - zawołał Ostap. - Nie ma chwili do stracenia.

I ruszył się ku drzwiom śpiesznie.

- Dokąd, bracie?

- Do dworu.

- A ty tam po co?

- Ratować go.

- Kogo? - spytaj gorzko Fedko - pana? pana, co nas ciemiężył? co nam dał wymrzeć wpół z głodu, wpół z choroby? Jego?

- Jego - rzekł Ostap. - Bóg każe dobrem za złe płacić; czyńmy, jak każe. Nie do nas należy go sądzić.

Wielkimi zdumionymi oczami spojrział Fedko na brata, wzruszył ramionami i siadł na ławie.

Ostap wyszedł i szybkim krokiem pobiegł do pałacu. Dziedziniec był dziwnie pusty; nikogo w przedpokoju. Stary kamerdyner siedział w sali na krześle i płakał.

- Hrabia słaby? - spytał wpadając Ostap.

- Od kilku godzin.

- Nikogo przy nim?

- Dotąd nikogo prócz nas. Posłaliśmy uwiadomić pana Alfreda.

- Prowadź mnie do niego, wiesz, że doktor; nie ma chwili do stracenia.

Posłuszny stary zwał się z krzesła i otwierając drzwi przybyłemu przeprowadził

go przez szereg pustych pokoi do sypialni pańskiej. No łożu mahoniowym stękał

chorobą złamany, stary, zsiniały już, zziębły, bezprzytomny. Na widok Eustachego zmieniła się twarz, zadrżała raka, którą usunął, usta poruszyły, jakby chciał

coś mówić. Szybko przygotowano gorącą wannę, a mimo wstrętu i oporu Eustachy potrafił mu dać lekarstwo.

- O! gdyby wiedział - rzekł w sobie Eustachy - że te same krople dawałem bratu i siostrze, wolałby może śmierć nad nie! I bolesny uśmiech przeleciał mu po ustach. Godzina nie upłynęła, a już z pociechą i dumą widoczny był skutek starań lekarza. Hrabia spał głęboko i potniał.

Ostap w oddaleniu czuwał; na próżno stary sługa ze łzami w oczach, wzruszony, wdzięcznością przejęty chciał go namówić do spoczynku. Pozostał z daleka śledząc postęp lekarstwa i przemagając jego siłę.

Po północy dwa powozy zaturkotały przed gankiem. Alfred śpiesząc na ratunek stryjowi, Michalina, pomimo próśb i odradzań ciotki, biegła do łoża ojca.

Spotkali się milczący i powitali spojrzeniem w sali; oboje razem biegli do pokoju hrabiego. Nie było czasu i nie było komu oznajmić im, że Ostap wszystkich uprzedził. Z wielkim zdumieniem postrzegli go uspiętego w krześle u łóżka hrabiego. Michalina cofnęła się, zarumieniła i zbliżyła do ojca. On spał, ale snem spokojnym już przesilonej słabości. Na szelest wchodzących zbudził się Ostap i pochwycił; postrzegł stojącą nad ojcem Misię i pospieszył ją uspokoić.

- Hrabia wyzdrowieje; ręczyć za to mogę - rzekł cicho. Zostawmy go w spokojności. Szczęśliwy

jestem, że w czas przybyć mogłem, aby go ratować.

Alfred i Michalina ścisnęli go za ręce.

- Nie wiem, jakie przeczucie mówiło mi - szepnął Alfred - że ty tu być musisz.

Tłumaczyłem sobie na próżno, że to być nie może; serce mi mówiło - być musi.

- A teraz - rzekł Eustachy - zostawiam was przy nim; mnie czas do moich chorych, do tych, którychem jeszcze żywych zastał; bo wielu, wielu umarło.

Nikt go wstrzymywać nie myślał, tak wszyscy zajęci byli rozpytywaniem o słabości hrabiego; wymknął się więc niepostrzeżony i zbiegł na wieś znowu. Dzień już był

bliski; wicher ustał, pożar zagasł i ranna gwiazda błyskała na bladym tle jesiennym niebios. Dym ciemny ze szczątków pożaru unosił się w górę i daleko rozciągał po wilgotnej ziemi.

W chacie jedni spali snem spoczynku, drudzy snem wiecznym. Stary Roman nie żył, wnuczę jego, przejąwszy słabość od dziada, dogorywało w strasznych męczarniach; Zoja i Janko mieli się lepiej. Fedko czuwał nad nimi. Na twardej ławie podesławszy płaszcz położył się Ostap i usnął na chwilę. Trzecią to już noc nie zmrużył oka.

VIII

W dwa dni po opisanych wypadkach hrabia odzyskał przytomność zupełną. Alfred i Misia nie odstępowali od jego łóżka, obaczył ich i wyciągnął rękę, jakby się z długiego snu budził, z długiej powracał podróży.

- Winienem ci życie - rzekł do Alfreda.

- Stryju kochany, nie mnie je winienesz, innemu.

Znak Misi, która lękała się, żeby imię nienawistnego człowieka nie wzruszyło ojca zbyt mocno, przerwał Alfredowi.

- Któż tu był? - spytał hrabia.

- Lekarz - odpowiedziała Misia.

- I tyś mi przecie powróciła! - z wymówką zawołał stary. Gdybym nie zachorował, nie byłabyś sobie przypomniawsza ojca.

- Papo, kochany papo, winnam! Nie wymawiaj mi; zostaw to na później, gdy będziesz zdrowszym.

Lękając się znużenia nie dano długo mówić hrabiemu. Szybko przychodzić zaczął do zdrowia, silny w sobie, nie wycieńczony ani myślami (których nie nadużył), ani żadnym zbytkiem, prędzej niż drudzy odzyskiwał dawne siły. Ostap nie pokazał się więcej we dworze u łóżka chorego, ale codziennie wzywany przez Michalinę, z nią i Alfredem spędzał część wieczoru.

Choroba straszliwa, dziesiątkująca w okolicach niektórych wsi i największe osady, powoli ustawać zaczynała; liczba chorych i umierających zmniejszała się, a pobożny lud przypisywał cudowny skutek wystawionym na drogach krzyżom.

Alfred, przenikliwie poglądając na Eustachego i siostrę, lękał się nowego ich zbliżenia; Misia co dzień mniej ukrywała namiętne przywiązanie, utaić się już niczym oczom nie mogące, dla człowieka, który z uszanowaniem, bojaźnią, smutkiem zbliżał się tylko do niej. Zdaje się, że udana czy prawdziwa obojętność Eustachego jątrzyła jeszcze Misie. Nie tając się przed Alfredem, okazywała jawnie, przerażająco, że go kochała. Często odchodziła wieczorem we łzach cała, bo on jej rozumieć nie chciał. Na próżno pani des Roches, przełęczona jak Alfred postępowaniem przywiązania tak dziwnego, bez przyszłości i nadziei, starała się wszelkimi sposobami sprzeciwić się, przeszkadzać schadzkom wieczornym. Misia samowolna, rozkazująca, niepokonana, zawsze potrafiła postawić na swoim.

Jednego wieczora zostawszy sama z Alfredem tak niespokojnie chodzić poczęła od okna do drzwi, zaglądać, podsłuchiwać obiecanego przybycia i utyskiwać głośno, że brat nareszcie postanowił nie tając dłużej podchwyczonej tajemnicy, oświecić ją o przyszłości.

- Kochana Misiu - rzekł - możesz mi wierzyć, że kocham Eustachego, jednakże, jakkolwiek wiele mu

winni jesteśmy, jakkolwiek go szacuję i przywiązany jestem do niego, twój niepokój o niego, twoja wdzięczność przechodzą może granice...

- Granice czego? - spytała Misia urażona.

- Na Boga! Nie gniewaj się, siostrzyczko! Mnie się zdaje... ja się może mylę.

- Powiedźże całą, całą myśl twoją, Alfredzie - dodała spokojnie.

- Ty go kochasz chyba! - zawołał, nie wiedząc, jak inaczej to wyrazić.

Michalina stanęła, spojrzała, podała mu rękę i spytała cicho:

- Bracie, a gdyby tak było?

- G d y b y t a k b y ł o, Misiu... znaczy, że tak jest! Nieszczęśliwa jesteś i boleję nad tobą, Jest to miłość bez jutra i nadziei.

- O! Wiem przecie o tym! - odpowiedziała, siadając w krzesło i zakrywając oczy -

dawno wiem o tym. Ale możnaż, powiedz mi, rozkazać sercu, żeby nie biło, kiedy się raz poruszy? Wszakże nie wywoływałam tego przywiązania; opierałam się mu; ale mój los i kto wie, Bóg zapewne chciał tego. Stało się, bracie... Możesz się litować nade mną, ale nadto pojmujesz, czym jest uczucie, żebyś miał dziwną myśl zgaszenie tlejącego we mnie. Kocham, Alfredzie, kocham go; i powiedz mi, jestże to niczym już nieusprawiedliwionym, tak dziwnym, tak bezprzykładnym?

- Twój ojciec...

- O! Wiem o tym; ale po cóż mi go wspominasz? Każdeż przywiązanie ma się koniecznie zamknąć żelazną kłódką małżeństwa? Moje wiatr rozwieje i godziny długie z sobą gdzieś uniosą. Wiem, że nie mam jutra, dlatego dziś tak mi jest drogie, dlatego tak niespokojnie wyglądam go, oczekuję, pragnę. Śmieję się ze mnie, jeśli ci się podoba.

- Płakać bym powinien raczej.

- Daj mi pokój! Ty zawsze żartujesz! Wiesz moją tajemnicę; niech przy tobie zostanie.

- Twoja tajemnica, droga Misiu, nie jest wcale tajemnicą, jak ci się zdaje.

- Jak to! - zrywając się zawołała Michalina - on miałby wiedzieć o tym?

- On... nie wiem, ale wszyscy, co cię otaczają, szemrzą; ciotka, pani des Roches domyślają się. Zlituj się, staraj nie okazywać po sobie.

- Alboż to tak widoczna? - naiwnie spytała Michalina.

Alfred ruszył ramionami i nic nie odpowiedział; ona na chwilę rozmyśliła się smutnie, potem dumnie

podniosła czoło i rzekła:

- Niech wiedzą! Niech mówią! Co mi to szkodzi?

- A jeśli kto usłużny doniesie twojemu ojcu? Wieszże ty, możesz rachować skutki? To śmierć dla niego!

- Ale to być nie może! Któż by śmiał?

- O! - rzekł Alfred - nie rozumiem, jak dotąd ukryć się przed nim to mogło!

Później...

- Cóż poradzić? - spytała Misia. - Mów, pomóż mi; ja nie wiem.

- Droga siostrzyczko - z uśmiechem rzekł Alfred - posłuchaj mnie trochę. Z

wszelkim namiętym przywiązaniem dwojako człowiek postąpić sobie może: poddać się lub walczyć. Dwojaką tę drogę masz przed sobą, a ja, gdybyś mnie posłuchać chciała, wskazałbym ci walkę. Sama wyznajesz, że miłość twoja jest bez nadziei; po cóż się jej poddawać? Niech on odjedzie, ty zapomnisz.

- Zapomnisz! O, jaka łatwa i piękna rada! Widać Alfredzie, żeś nigdy nie kochał!

Zapomnieć! Można zapomnieć? Zapomnienie to śmierć, to zabójstwo! I wieszże, jaką boleścią okupuje się zapomnienie? Ilą łez i rozpaczy przykrywa się ten grób?

Na te słowa żywo wymówione pobladł i ciężko westchnął Alfred.

- Misiu, jak ty mnie nie znasz!

Spojrzeli na siebie może raz pierwszy oko w oko, długo, aż się zrozumieli.

Alfred z kolei upadł w krzesło i zakrył twarz ręką.

Michalina milczała.

- Bracie - odezwała się z cicha - radzisz mi lekarstwo, które, jak widać, tobie samemu niewiele pomogło. Ty cierpisz?

- Bom się skazał na ciche milczenie. Nie mogąc być kochanym, litości nawet nie mogąc wyprosić, walczę z sobą, cierpię, czekam.

Michalina jeszcze udała, że nie rozumiała.

- Niech jedzie - rzekła - niech jedzie. Wszak to chciałeś mi radzić? Prawda, potrzeba tego, ale dlaczegoż nie mam korzystać z chwil ostatnich, być z nim.

Jeszcze godzin kilka, a potem wspomnienie tylko, nie to wspomnienie łzawe, co pociesza i łagodzi boleść, ale wspomnienie straszne jak zgryzota i dolegające jak rana.

Pani des Roches weszła - zamilkli.

Eustachy, smutny i poważny jak zawsze, przyszedł w pół godziny potem. Rozmowa wieczorna, w której Alfred poświęcił się na towarzysza Francuzce, opowiadając jej szeroko i długo o Paryżu i Francji, cicha, tajemna toczyła się między Misią i Ostapem nieprzerwanie wieczór cały. Gdy wychodzili, Alfred, pod pozorem pilnej sprawy, wziął przyjaciela pod rękę i uprowadził z sobą do swego mieszkania. Czuł

potrzebę rozmówienia się z nim otwarcie i stanowczo o przyszłości, zamiarach i myślach jego.

Nie wyjawiając przed nim, że widzi coś nadzwyczajnego, grożącego, chciał go pozorem własnego dobra do odjazdu nakłonić.

- Hrabia co dzień się ma lepiej - rzekł po chwili. - Pomimo wdzięczności, jaką ci winien, nie wiem czy należy ci wyglądać niejako, aż będzie w stanie ją objawić.

- Wdzięczności! Ale nie chcę żadnej! - odrzekł dumnie Ostap.

- Dłuższy twój pobyt mógłby tę myśl nastreczyć.

- Więc wyjeżdżam natychmiast!

- Jeśli niespokojny jesteś o swoich, jedź do Skały, ale nie baw tu dłużej.

Ostatnie słowa Alfred wyrzekł tak skłopotany, niepewnym głosem, bez przekonania, że Ostap zastanowił się i spojrzał mu w oczy. Nawykły do czytania na jego twarzy poznał, że co innego mówił, a myślał co innego; Alfred odkrył znowu wątpliwość rodzącą się jawnie w rysach twarzy przyjaciela; oba pomieszani, zarumienieni stanęli.

- Gdybym cię mniej znał - rzekł Eustachy - posądziłbym, że całej swej myśli mi nie odkrywasz.

- Eustachy! Wierzysz w moją przyjaźń?

- O! Możesz wątpić?

- Uwierz więc, że wszelka moja rada, czy jej powody całkiem, czy na wpół ci tylko odkrywam, pochodzi z przyjaznej o ciebie troskliwości.

- Wierzę i słucham. Jedziesz do Skały? Ja z tobą.

- Jutro rano. Hrabia nie potrzebuje już naszej pomocy. Twój krewni?

- Także - odpowiedział Eustachy z westchnieniem.

- Możemy więc jechać.

- Pojedziemy.

Na tym skończyła się rozmowa.

Nazajutrz jednak rano, nim wyruszyć mogli, Michalina wyszła ich prosić do siebie. Całą noc przeżyła ona we łzach walcząc ze sobą i nic prócz bóleści nie mogąc wywalczyć. Jedno tylko religijne wychowanie, uczące tłumić namiętność wszelką i wojować z nią w początku samym, może dać siły potrzebne na pokonanie jej. Misia wcale go nie miała. Przywykła czynić tylko swoją wolę, dogadzać wszelkiej przelotnej fantazji, w pierwszych chwilach oddała się uczuciu powstającemu z całą żywością swego charakteru. Wszystko spikało się na wzrost tej nieszczęśliwej miłości. Niepodobieństwo samo miało pewien pociąg dla takiej, jak ona, kobiety; wyjątkowe położenie Eustachego, jego głęboki smutek, prześladowanie, którego - krótko wprawdzie - doznał, wzbudziły litość, zajęcie, nareszcie pociąg i przywiązanie.

Szlachetny charakter i cierpliwe męstwo, uporne wreszcie milczenie ust, gdy oczy mimowolnie zdradzały, co się w duszy działo, mówiły za nim. Powolnie rosła i wzmagala się miłość, ale nareszcie doszła do tego stopnia natężenia, kiedy człowiek przytomność od niej traci, gorączki dostaje, schnie i umiera.

Całą noc przepłakała, przedumała Misia. Chciała przed sobą rozjaśnić przyszłość jakąkolwiek nadzieją - na próżno. Zewsząd wznosiły się niepokonane trudności, niepodobieństwa; kłamała przed sobą i po chwili, sama w swe kłamstwo nie wierząc, płakała. Zaczęło świtać i powiedziała sobie:

- Widziałam go raz ostatni!

Wiecie może, co za wrażenie robi na człowieku ten wyraz o s t a t n i! Opisać go niepodobna: głowa pęka, serce się rozdziera, życie uchodzić się zdaje. Musimy być przeznaczeni do nieśmiertelności, gdy nas wszelka zaporą w życiu, wszelkie nieodwrotne jego zamknięcie tak silnie wstrząsa i oburza.

Na tę myśl szłał opanowywa, a wtenczas kto nie oszalał - ocalał. Wielu jednak szaleje, wielu na resztę żywota z tej chwili wypija truciznę, od której potem śmierć powolna nadchodzi. Misia płakała z dniem wschodzącym, a nie mogąc przemóc wrażenia, jakie na niej czyniła myśl: w i d z i a ł a m g o r a z o s t a t n i, posłała prosić Alfreda i Eustachego do siebie.

Alfred przyjął tę prośbę z przykrością widoczną, ale odmówić jej nie śmiał.

Mieli siadać do powozu; milczący zwrócił się ku pałacowi.

- Chwilkę tylko zabawim - rzekł wchodząc na ganek. - Czas nam w drogę.

Eustachy nic nie odpowiedział. Jego twarz, zwykle piętno spokojnej rezygnacji nosząca, była blada, a oczy jaśniały gorączkowo; usta miał sine, wyraz fizjonomii niezwykajny. Dostrzegł tego Alfred: wewnętrzna męka jadła go w duszy i nie wyszła na jaw, aż się wpiła w organa życia, które ją zewnątrz zaświadczyły.

- Co ci jest? - spytał, widząc Eustachego chwytającego się za kolumnę.

- Nic... tak, znużenie... - odpowiedział doktor.

Michalina czekała ich w progu swojego pokoju, także do niepoznania zmieniona, blada, pomieszana.

- Chciałam... - odezwała się - zapomniałam... Przepraszam... ale nie spytałam panów, jak mam postępować z przychodzącym do zdrowia ojcem. Dlatego to musiałam prosić go jeszcze.

Pretekst był wynaleziony, ale niezręcznie, bo Eustachy zostawił przepis szczegółowy. Nic jednak nie odpowiedział, bo tak był pomieszany, że zapomniał o tym, co zrobił. Michalina spojrzała mu w twarz i zadrżała, widząc jej zmianę.

- Co to jest? Pan chory? - spytała troskliwie.

- Ja? Nie - odparł Eustachy, dobywając zmuszonego uśmiechu. - Nigdy się owszem lepiej nie czułem.

Wchodzący służący wyprosił Alfreda do hrabiego; zostali sam na sam.

Eustachy tak był nieprzytomny, że nie wiedział, co mówić; rzucił oczyma po pokoju, chciał się uśmiechać, udawał wesołego, a padał prawie z bólu.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - spytała Michalina cicho.

- Pani, możesz wiedzieć? Na twój rozkaz jestem zawsze do śmierci.

- Jak teraz - przerwała Michalina - ocaliłeś życie mojemu ojcu. A! Nie umiem panu wyrazić, jaką w moim sercu zostawiasz pamiątkę, pamiątkę, której nic nie wygładzi - dodała z zapalem - wieczną, a przynajmniej trwałą jak życie.

Eustachy miał łzy w oczach.

- O! mnie to - zawołał - mnie być wdzięcznym, mnie czcić was zawsze, mnie, któregoście wyciągnęli z błota, któremuście dali więcej niż życie, bo uczucia i myśli godne człowieka. Nie! Na to nie ma słów w języku!

I pochwycił się za serce.

- Ale kiedy, powiedz mi pan, kiedy się zobaczymy znowu?

- Moje życie niepewne jutro, a wszędzie, gdzie będę, modlić się i pamiętać, i czcić was nie przestanę. Ty, pani, i Alfred jesteście na zawsze w moim sercu, z którego nic was nie wyruguje, bo ktoż by więcej z taką anielską dobrocią chciał się zbliżyć do człowieka odepchnionego przez towarzystwo, skazanego na poniżenie.

- Gorzkie masz pan wyobrażenie o świecie, ale jestże dziś ktoś, co by śmiało cenić człowieka z czego innego, jak z niego samego?

- Cóżem ja wart! - łamiąc ręce rzekł Eustachy. - Czyżem zasłużył sam na co więcej nad litość?

- O! z mojej strony - żywo przerwała Misia - daleko więcej, bo na wdzięczność, bo na...

Na ustach już miała straszne i niewyrachowanych skutków wyznanie, gdy Alfred, który odszedłszy niepokoił się o tych, których sam na sam zostawił, wpadł

pospiesznie do pokoju. Rzutem oka po obu twarzach wyczytał, że rozmowa nie musiała być obojętna, ale poznać nie mógł, na czym się przerwała.

- Jedziemy - zawołał wesoło niby. - Bądź zdrowa, kochana kuzynko. Jedziemy do Skały. Dobry mój Eustachy obiecał mi tam kilka dni, może dłużej zabawić. Czekają na mnie moi chorzy. Wczoraj odebrałem wiadomość, że w jednej z wiosek pokazała się cholera. Nasz obowiązek spieszyć na ratunek; to ci tłumaczy mój pośpiech...

Pożegnanie było prawie obojętne, tak wszyscy nieprzytomni. Za ledwie drzwi się zamknęły za nimi, Misia wypadła do pokojów, z pokojów w ogród i skryła się w zarosłych ulicach. Pani des Roches, każdy krok jej śledząca, pospieszyła za nią.

Tymczasem dzwonki pocztowe, oddalające się coraz, mierzyły odległość, którą powóz Alfreda na pocztowej drodze ubiegał.

Michalina otworzyła z bijącym sercem furtkę na trakt wychodzącą. Jeszcze raz chciała go zobaczyć - jeszcze raz. Ale jak cień przemknęły się przed nią rozpuszczone konie i niczyjej nawet nie dostrzegła twarzy, bo Eustachy w głębi wozu wciśnięty udawał snem znużonego. Alfred tylko dojrzał sukni u furtki i rzekł w sobie z westchnieniem.

- Jest to więc szal niepokonany, Biedna Misia!

Wieczorem Eustachy leżał nieprzytomny na łóżku, a Alfred czuwał nad nim.

Gwałtowna gorączka, wzmagająca się z każdą wieczorną godziną, nie dająca się niczym przerwać i wstrzymać w postępie, olbrzymimi krokami szła wyrywając siły, zmysły, rozum, pamięć.

IX

Lat dziesięć upłynęło.

Eustachy, wyjechawszy ze Skały po długiej rozmowie z Alfredem, która całą noc trwała, nie pokazał się więcej.

Tymczasem wiele się rzeczy zmieniło. Stary hrabia dowiedział się, kto go uratował, ale pomimo to nigdy nie wspomniał Eustachego, nigdy o niego nie spytał.

Alfred pozostał w Skale, często bardzo odwiedzając stryja, poufały z Michaliną, ale nie zdając się starać ani o jej serce, ani o rękę. Inni pretendenci, których zwabiał rosnący majątek, przesuwali się jedni po drugich śladu po sobie nie zostawując. Wielu z nich życzył sobie hrabia, ale Misia stanowczo powiedziała, że nie wyjdzie za nikogo przymuszona i w najważniejszym kroku życia chce być swobodną.

Gdy rok za rokiem płynął, a wyboru nie czyniła, ojciec począł się dręczyć.

Jednego poranku ośmielił się wreszcie przypomnieć córce, że czas byłoby uczynić wybór.

- Zostawcie to mnie - odpowiedziała.

Nie śmiał nalegać.

Najznakomitsi współubiegacze po niej jakim czasie usunęli się i znikli, nowi pokazywali chyba z rzadka. Dziwne wieści poczęły krążyć o hrabiance. Ojciec chciałby był już chociażby Alfreda, zwłaszcza że Alfred od powrotu z zagranicy na dobrym stopniu postawił swoje interesy i, jak mówią, robił majątek.

Nie próbując już przynaglać córki, hrabia wybrał się do Skały i nadmienił

Alfredowi, że dane jego ojcu na łożu śmiertelnym słowo dotrzymanym być musi, że czas coś postanowić.

- Ja - rzekł Alfred - z wdzięcznością przyjmę spełnienie jego, ale nie inaczej, aż Michalina na to dobrowolnie zezwoli.

- Staraj się o nią!

- Starąłem - odpowiedział synowiec - ale, zdaje mi się, na próżno.

- Mogę jej powiedzieć, żeś mi się o nią oświadczył?

- Z tym, że miałbym sobie za szczęście ten związek, gdyby nań chciała z dobrej woli pozwolić. Ale nic jej wiązać nie powinno ani ciebie, kochany stryju, ani słowo dane, ani żaden inny wzgląd.

Hrabia odjechał, nie mogąc pojąć, dlaczego mu było tak trudno wydać piękną, młodą, miłą, bogatą

córkę, dlaczego Alfred tak zimno przyjął jego propozycję.

Nazajutrz oświadczył córce.

- Pomówię o tym z Alfredem - odpowiedziała. - Niech przyjedzie.

Dano mu znać; pospieszył. Hrabia niecierpliwie wyglądał końca.

Wieczorem Misia została sam na sam z bratem.

- Prawda to - spytała go - że oświadczyłeś się ojcu o moją rękę?

- Oświadczyłem, że byłbym szczęśliwym z tego związku, ale z tym, jeśli byś go także żądała i zezwoliła dobrowolnie, na nic a na nic się nie oglądając. Jeśli zasłużył na trochę przywiązania, litości...

- Ty wiesz Alfredzie, co się w moim sercu dzieje - przerwała. - Kilka lat ubiegłych nie zmieniły mnie, odebrały tylko, jeśli kiedy jaka być mogła, nadzieję, obrały z marzeń łudzających. Dziś jak dawniej kocham go. Jeśli z tą chorobą serca, z tym wiecznym smutkiem i tęsknotą chcesz mnie wziąć jako przyjaciółkę, jako towarzyszkę, jeśli chcesz moim urzędowym zostać obrońcą, będę twoją. Dla ciebie więcej szacunku, więcej mam przywiązania niż dla innych. Gdyby nie on, czuję to, byłabym cię kochała. Chceszże mnie wziąć tak?

Alfred zamilkł,

- Jest to czas na wyznania, moja droga siostrzyczko. Ja cię kocham dawno.

- Wiedziałam o tym.

- Spodziewałem się, że czas, może oddalenie...

- Nic! nic! nigdy! - żywo przerwała Michalina. - Kto kocha jak ja, ten kocha na wieki.

Alfred smutnie opuścił głowę.

- Każesz mi przestać na ręce, kiedy chciałem serca. Powinien bym cofnąć się, nie mam siły.

- Pójdziemy więc dalej razem - odpowiedziała.

- Pójdziemy!

To przyrzeczenie przedślubne wyrzeczone było smutnie, tęskno, a po nim długie nastąpiło milczenie.

- Widzisz, jak jestem otwartą - dodała ona - ty jeden z moich ust własnych dowiedziałeś się tajemnicy. Powtarzam ci dziś jeszcze, że go kocham. Nie miej mi za złe ani tęsknoty, ani przywiązania, ani smutku mego. Kto wie... Będę walczyć z sobą. Teraz przyjaźń masz moją i przywiązanie siostry.

- I to mi drogi, gdy nic więcej mieć nie mogę.

- Ślub nasz odbędzie się cicho, skromnie i przy rodzinie tylko. Pojedziemy potem do Skały. Nie róbmy ani wielkich przygotowań, ani szumnego wesela, nieprawdaż?

- Rób, jak ci się podoba; ja zezwalam na wszystko.

Na tym się skończyły przedślubne układy. Ale hrabia pojąć nie mógł, dlaczego Misia i Alfred upierali się przy cichym i tajemnym prawie weselu. Największa walka była o to; Misia przecież postawiła na swoim. Kilka osób pokrewnych, pani Krystyna, jej córka zjechali się tylko. Ślub odbył się rano w kaplicy, a po obiedzie państwo młodzi, wedle życzenia, odjechali do Skały.

To było trochę *à l'anglaise*[110], hrabia więc nic nie miał przeciwko temu; obczyzna zawsze mu smakowała; miał ją za dobry ton.

Pożycie nowych małżonków było ciche, spokojne, powiedziałbym szczęśliwe, gdybyśmy do wyrazu szczęście nie przywiązywali znaczenia ogromnego, znaczenia, co swym ciężarem kruszy noszące je słówko. Nie było więc szczęście, ale spokój.

Oboje nie zmienili trybu życia ani humoru, ani myśli. Stary hrabia poglądając na nich, zwykł był mawiać, że nie widział w życiu tak dystyngowanego małżeństwa, tak p r z y z w o i c i e szczęśliwych ludzi. Tyle się też cieszył i tak głęboko poruszył, że nie mogąc strawić swojego szczęścia i pasztetu sztrasburskiego z bolońskimi salcesonami, obficie na śniadaniu zjedzonego, zachorował, pobłogosławił, umarł.

Nie czujemy się w obowiązku opisywać ani łez wylanych, ani wspaniałego pogrzebu i kazania pochwalnego, ani sutej żałoby sprawionej. Michalina wkrótce potem osadziła na kawałku nadanego gruntu krewnych Eustachego, uwalniając ich zupełnie. W ten sposób objawiła, że jeszcze pamięta o nim. Alfred przyłożył się do tego dobrego uczynku dając sowitą zapomogę. Państwo młodzi przenieśli się ze Skały do znajomej nam z tej powieści wioski.

Michalina pozostała spokojnie smutną; Alfred pracował. Tajemnie starał się on dostać wieści o przyjacielu, ale na próżno. Kończył się lat dziesiątek, jakieś wyżej powiedzieli, a wiedzieć nie było można, co się z nim stało.

Piękny ranek wiosenny świecił nad uroczym Podolem. Kraina, którą Trembecki[111]

nazwał płynącą mlekiem i miodem, jaśniała w tej chwili więcej niż bogactwy swymi, bo nieśmiertelną pięknnością. Jej wzgórza i góry, skały, jary, strumienie, rzeki, doliny i stare, rozwalone zamczyska, i zielone lasy dębowe w całej były krasie i młodocianym wdzięku.

W oddaleniu na wschodzącej chmurze bieleły wieże Kamieńca[112], wysoka dominikańska poważna dzwonnica i smukły minarecik[113] katedralny i tłum domów, co ściśnięte na tej dziwnie wyrosłej skale zdają się tulić do siebie i świadczyć o niebezpieczeństwie od Turka.

Bliżej nad okrągłymi wierzchołkami swych baszt ciemnieje stare zamczysko. Powóz sześcią koni zaprzężony zwolna zbliżał się ku miastu; z ciekawością wygląda z niego piękna głowa męska i piękniejsza główka kobieca. Coraz widoczniej rysują się nagromadzone na skale mury, kościoły i ruiny, coraz wydatniej widać wspaniały zamek. Wysiedli na koniec i pieszo, z wzruszeniem, jakiego doznaje każdy na widok niespodzianego cudnego widoku, przechodzą część drogi dzielącą ich od tak zwanego Diabelskiego Mostu. Jest to tureckich zapewne czasów dzieło, wiążące miasto z dawną fortecą - potężny mur niezmiernej wysokości, wąskim przesmykiem wiodący z zamku do Kamieńca właściwego. Spodem szumi obiegająca skałę dokoła rzeka, a chatki rozsypane w dole bieleją, gdziegdzie poprzyczepiane w głębi, po bokach gór jak jaskółcze gniazdka. Widok zachwycający.

Nie dziw, że Alfred i Misia długo tu pozostali w zadumaniu i zachwycie.

Ale to tylko pierwszy widok nieporównanego Kamieńca. Cały dzień potem musieli, posłuszni ciekawości, obchodzić tę relikwię przeszłości, ten drogi zabytek dawnych czasów, który, jak wszystko na świecie, zrzuca powoli starą szatę, aby wdziać nową, ścięra z czoła pamiętki, by się inaczej ustroić.

Nie wiem, czy które z miast naszych pochlubić się może tyłą pamiętkami sławnymi, co Kamieniec. Na każdej uliczce zastanawiają cię to stare herby ryte na kamieniu, to napisy, to znaki, to podania. Dokoła rozwaliny przepyszne obronnych murów, baszt, mostu zwanego Wycieczką, pięknych bram zatrzymują, każą dumać o przeszłości. Zewsząd widoki tak piękne, wielkie, malownicze! Ale niczym by one były bez tych piętn drogich, które spotykasz wyciśnięte wszędzie.

Tam herb, tam napis, ówdzie kształt budowy, znak, data wstrzymują, zadziwiają. W

żadnym z naszych miast nie ma ich tyle i z tak różnych epok. Postrzegasz tu obok Stanisławowskich Jagiellońskie orły i tureckie cyfry, na Bramie Polskiej stare herbowne znaki mówią do ciebie językiem XVI wieku. Gdzie indziej - oto domostwo pobytom Stanisława Augusta nacechowane, biedne, nie ma się czym chwalić; w kratkach drugiego czytasz herby litewskiej książęcej rodziny; z rozwalin sądowiczego domu nad okny mówi ci jeszcze poważny, wspaniały głos przeszłości: Nolite judicare![114]

Ówdzie jakby dziwaczną igraszkę nad drzwiami gmachu, służącego do obrad szlacheckich, wmurowano kamień szydersko mruczący: Domine! conserva nos in pace[115].

Któż to tak dowcipnie tu zastosował i tę prośbę utrapionych od Turka mieszkańców Kamieńca zamienił w wykrzyk satyryczny?

Począwszy od Karwasarów, od polskich folwarków, gdzie stąpisz, zdumiewasz się pamiątkom i ich liczbie na tak szczupłej przestrzeni nagromadzonej. W Wietrznej Bramie, którą od polskich folwarków do miasta się dojeżdża, zastanawia napis, a bardziej jeszcze reszty krytego mostu i ślicznych ruin. Stąd cudny widok! Te skały, jakby ręką ludzką obcięte w ściany proste, pokrajane ścieżkami, zdają się wielkim mrowiskiem, wśród którego snują małe mrówięta. Co za widok z wałów! A wszędzie kamień każdy prawie potracony nogą, zarosły mchem może, zawiera napis, pamiątkę.

Dwie osobliwsze i jedyne u nas pozostałości tureckie zwracają nade wszystko uwagę. Jest to naprzód cudnej piękności, w swoim rodzaju, z jednej ogromnej bryły granitu wykuta kazalnica w dominikańskim kościele; zdobi ją na wierzchu napis z Alkoranu[116]. Oryginalność rysunku, delikatność wykonania opisać się nie dają; potrzeba ją widzieć. Szkoda, wielce szkoda, że ją niefortunnie pobielono, że w środku podostawiano aniołki. Należało ją zachować, jak była, bez najmniejszej odmiany. Kapłan katolicki kazący z tego miejsca, byłby jej najpiękniejszą ozdobą.

W katedrze jak świeca przyklepiony do jej boku cieniuchny, smukły, wybiega do góry minarecik prześliczny. Na wierzchołku jego był księżyc i pozostał; ale na księżycu postawiono Matkę Bożą. Co za myśl poetyczna! Wewnątrz kręcone schodki, których jest przeszło półtora sta, wiodą na ganeczek, z którego muezzin[117] na modlitwę wołał. Ciemne, wspaniałe wnętrze katedry, stare jej sklepienia wielkie też czynią wrażenie.

Cały dzień Alfred z Michaliną przechodzili Kamieniec, z końca w koniec powracając, zastanawiając się, zachwycając. Nareszcie znużeni usiedli na ławach.

Tu mogli odpocząć, otoczeni widokiem dziwnej piękności. Myśl urzędzenia przechadzki w tym miejscu należy do najszcześniejszych; szkoda tylko, że stare szczęty murów, których nadto strzec, nadto zachowywać nigdy nie można, zapewne w części poświęcone być musiały. Wiele z nich użyto szczęśliwie. Nie powiemy tego o rzeźbach mających zdobić to miejsce.

Zamek w całej się stąd swej starożytnej maluje krasie. Wspomnienia cisną się tłumnie.

Imiona liczne wywołują pamięć; najślawniejsze na wieki zgasły, a na ich miejsce mamy imiona tych łącno zbogaconych nie wiedzieć skąd przybyszów, co zamierzywszy sobie porobić majątki, nie rachują wcale, nie mają za obowiązek być czymkolwiek sławni i użyteczni. Myśleć o dobru nie swoim, powszechnym - stało się śmiesznością. Nie tak, o! nie tak dawniej bywało! Słynne dawniej imiona zdobyły krwią i ofiarami sławę swoją.

Tak myślał Alfred przypominając, ile się krwi polskiej pod Kamieńcem, Chocimem[118], na Wołoszczyźnie[119], w Bukowinie[120] wylało - a krew to była najzaciejszych. Dziś by może od nowych panów i panków kropli jednej nie wyżebrało niebezpieczeństwo. Wiele zła przyczyną dla kraju była dumna i samolubna arystokracja, ale obok niego stoją i czyny wielkie, i poświęcenia bez liku. A czas pomniejsza winy, podnosi heroizm.

Z imiony sławnymi zeszło poświęcenie dawne.

Wśród tych dumań, natrętnie cisnących się, nagle wstrząsnął się Alfred, odwrócił, poskoczył z ławki, na której siedział z żoną.

Dziwnie ubrany człowiek mimo nich się przemknął; rzut oka na twarz jego zastanowił go, poruszył.

Misia także spojrzała, zbladła, odwróciła się; przechodzący zniknął.

Ubrany bardzo po prostu, w sukni wieśniaczej, z kijem w ręku, w słomianym kapeluszu, człowiek ten, tak przypominający Eustachego, skrył się pomiędzy drzewy.

Z początku chciał za nim gonić Alfred, ale po chwili rozwagi pozostał w miejscu.

Oboje go widzieli, ale każde z nich ukryło w sobie niespodzianą radość i niepokój. Długo pozostali na ławie, spodziewając się go zobaczyć; powolnie przechodzili ulice, myśląc, że go trafem spotkają - na próżno.

Wieczorem puścili się w dalszą drogę.

Znacie zapewne malownicze podolskie okolice? Grzechem by było zwiedzać dalekie kraje, a nie nacieszyć się wprzód swojej ziemi pięknnością. Możemy nią słusznie być dumni, a artysta, co by tam pojechał szukać natchnienia i zbierać pamiątki z obfitym wróciłby plonem.

W bliskości stolicy podolskiej Alfred z Misią stanęli u krewnych, gdzie zabawić mieli dni kilka. On, artysta dusą, obiegał pierwszy raz widząc tak nowy dla siebie kraj; z kijem w ręku puszczał się w góry, zwiedzał pieczary i ruiny, siadał na skał wierzchołku osnuwając wzrokiem pełne różności obrazy.

Jednego dnia, ku wieczorowi, przy wypogodzonym niebie, pociągającym od wschodu chłodnym wietrze, dalej niż zwyczajnie zapuścił się ciekawy. Każde wzgórze nęciło go nowy obiecując widok, kształty skalistych pokładów spod rozdartej sterczących ziemi, tak rozmaite, tak dziwaczne, wlokły go dalej a dalej szczegółnością swoją. Rośliny lasów i jarów to wonne, to wdzięczne kształtami i barwą, to rzadkością zastanawiające wyzywały ku sobie. Ze wzgórza na wzgórze, z lasku w lasek, ze skały na skałę wdzierając się, Alfred nareszcie zabłądził.

Zachodzące słońce skierować go mogło wprawdzie, ale niedokładnie zdawał sobie sprawę z przebytej drogi. Znużony usiadł na kamieniu, myśląc, jak to tam o niego niespokojni będą, jeśli się z powrotem przypóźni.

Przechodzący wieśniak, widząc go siedzącego na górze zastanowił się, pokłonił i spytał:

- A czy nie zbłądził pan?

- Prawda, mój kochany, niedobrze wiem, jak się nazad do N. dostanę, a trzeba by mi spocząć.

- To byście mogli tu niedaleko u Bondarczuka spocząć.

Na imię tak znane, chociaż tak pospolite, że się w każdej wsi prawie znajdzie, zastanowił się Alfred.

- Gdzież to ten Bondarczuk?

- W jarze, niedaleko, ot tam widać chutorek[120].

- Cóż to, poddany czyj?

- A Bóg go wie!

- Gospodarz?

- Nie, panie, tak dobry człowiek, co go nam Pan Bóg nie wiem skąd, jakby z nieba spuścił. Osiadł sobie w tym jarze, pobudował dominę, zagroził sadek, osadził

pszczoły.

Alfred począł się domyślać, że niespodzianie może natrafić na kryjówkę przyjaciela, coraz bardziej utwierdzał się w tej myśli i zsunawszy się z siedzenia, zbliżył się do wieśniaka usiłując wybadać.

- Stary to człowiek? - spytał.

- Zdaje się niestary, choć mu broda wieku dodaje. Ot, może waszych lat. Nikt nie wie, skąd przyszedł, jak mu pozwolono tego kawałka ziemi. Dla nas sąsiadów Pan Bóg go dał, bo czy poradzić się o co, czy w chorobie poratować, czy w biedzie dopomóc, przywykliśmy do niego. Ot, i ja zasiekłem się siekierą w nogę, zatem i idę. Zna on zioła, ma plastry i wielu ludziom pomaga. Moja siostra chorowała bez nadziei, co ją i dwór leczył, i cyrulik; nic nie pomagało, aż on dopiero, jakem mu powiedział, coś napisał - bo taki i pisać umie - kazał zanieść do Kamieńca. A tam się bardzo kiwając głowami, dziwowali, dziwowali i dali flaszeczkę. Ledwie jej pół wypila, wstała na nogi. I nie nam to jednym pomocny: wszyscy taki Boga za niego proszą.

Z tego opowiadania utwierdził się Alfred w przekonaniu, że przypadek dziwny szczęśliwym trafem zbliżył go do dawno niewidzianego przyjaciela.

Z bijącym sercem szedł ścieżynką, głębią jaru wydeptaną, ku chutorowi wskazanemu. Słońce się było skryło za wzgórze i ostatnie blaski jego na wierzchołkach drzew świeciły; jar cały ciemniał już w pomroce i chłodnym zionął

powietrzem dolin. Rozkwitłe melisy, głogi i inne kwiaty napępniały powietrze wonią. Gęsto poplątane brzozy, dęby, leszczyna osłaniały domek przed okiem; siny tylko dymu pasczek wzlatujący do góry zwiastował ludzkie mieszkanie.

Zbliżyli się wreszcie pod opasujący sadybę wał, oplątany tarnem, i wrota proste, które wieśniak otworzył. Tu dopiero odkryła się oczom Alfreda maleńka, biała chatka o dwojgu oknach, jednych drzwiczkach, z kominkiem nad słomiany dach wystającym. Dwa stare, krzywe dęby osłaniały ją liśćmi swymi, a zarośla gęste opasywały poza wałem. Góra skalista od północy z wystającymi szarymi złomami, które zieloną jej przebijały szatę, zakrywały do reszty tę ustronń tajemniczą.

Spomiędzy skał cienki, czysty strumyk wody ściekał na kamienie i rozlewał się w głębi jaru głęboko wrytym korytem. Ciszę cudownego wieczora przerywał tylko szmer kołyszących się od powiewu wiatru drzew. Weszli na podwórko, pies zaszczekał u progu, podniósł głowę i przestał z wytrzeszczonymi oczyma, jakby chciał rozpoznać przychodniów.

Maleńki ten domek, zaledwie porządną mogący się nazwać chatą, przypierał do drugiej, niewielkiej także budowy. Obie otaczał ogródek, zasadzony owocowymi drzewkami, warzywem, lekarskimi roślinami. Ule słomiane stały w nim kilką rzędami. Pod starym dębem wielki kawał skały, rzucony jakby umyślnie, służył za ławkę.

Zbliżyli się do drzwi. Maleńka sionka przedzielała domek na dwie części.

Wieśniak wskazał w lewo Alfredowi. On już nie wątpił, że znajdzie po dziesięciu latach rozstania dawnego towarzysza młodości; serce zabiło mu, gdy ręka sięgnęła za klamkę.

Otworzył. W maleńkiej izdebce, dwoma oknami z dwóch stron oświeconej, białej, czystej, ale wcale nieozdobnej, nad stołem siedział mężczyzna ten sam, którego Alfred przypadkiem spotkał w Kamieńcu. Sparty był nad otwartą książką. Ubrany po wieśniaczemu, z zapuszczoną złotawą brodą, z obnażoną prawie i wypełzłą głową, z zapadłymi, bladymi, policzki, dumiał. Zestarzał się, odmienił.

W tej izbie nie było nic prócz stołu, ławki, dwóch prostych stołków drewnianych, półki z kilką książkami i maleńkiej apteczki. Nad kominem wisiał portret litografowany[122] Alfreda z uniwersyteckich czasów.

Na stuk otwierających się drzwi Ostap odwrócił głowę, poznał Alfreda, zakrzyknął i skoczył ku niemu z otwartymi rękoma.

- Ty tutaj! - zawołał - ty u mnie!

I w długim uścisku przerwało się powitanie.

Przybyły opowiedział, jakim sposobem, jak przypadkowo odkrył mieszkanie Eustachego. Tysiąc pytań z obu stron zadano i wiele razy odpowiedź na nie smutkiem powiała po twarzach.

- Jak dawno tu mieszkasz? - zapytał Alfred.

- Kilka lat - odparł Ostap. - W tamtej stronie, sam wiesz zostać mi było nie podobna; szukałem ukrycia, znalazłem, kupiłem kawałeczek ziemi, pobudowałem się, jak dla mnie przystało; jestem spokojny i rad memu położeniu. Blisko tych, których zowie braćmi, nauczycielem, pocieszycielem i niewielkim kosztem -

dobroczyńca! Mogłoby mi być lepiej gdzie indziej? Wątpię. Chodź zobacz mój ogródek.

Wyszli pod stary dąb, gdzie leżał złom skały i tu dostrzegł Alfred wykutej w górze głębokiej pieczary, ciągnącej się daleko, chmielem u wejścia obrosłej, która tło ogródka stanowiła. Ponad nią był krzyż z prostych dwu kłoców dębowych złożony, pod krzyżem drugi do siedzenia kamień.

Drożyna wążiuchna wiodła ku niemu. Krótko tu pobywszy, poczuł Alfred, jak szczęśliwe mogło być życie w takim ustroniu dla człowieka, który musiał szukać samotności, bo go świat przyjąć by nie chciał.

- Chcesz wiedzieć, jak życie wiodę? - rzekł Eustachy. - Dzień po dniu płyną jednakowo, powolnie, zdaje się, a jednak nieznacznie ku celowi, ku śmierci wiodąc. Sam jeden ze starym sługą, który się skazał na to mniszę wygnanie ze mną, ze psem, co strzeże wrót, mieszkam rok cały. Rzadko potrzeba jaka wywoła mnie do pobliskiego miasta. Ludzie z sąsiedztwa co dzień przychodzą po rady, po leki; to dla mnie najmilszym zajęciem. Czasem z kijem ruszam po wioskach i sam szukam chorych; a ile razy uratuję matkę, ojca, dziecię, tylekroć błogosławię cię, żeś mi pozwolił uczyć się z sobą. Resztę godzin pielęgnuję pszczoły, czytam, kopię w ogrodzie. Proste życie! Ileż to razy na myśl mi przychodziła nieodzowna klasztorów potrzeba! Można łatwo z protestantami razem szydzić z mnichów i cenobiów[123], ale wiele to ludzi pokój w nich, którego na próżno gdzie indziej szukali, znalazło.

Wysławszy wieśniaka z kartką do żony, Alfred pozostał na noc na Bondarczukowym chutorze - tak go nazywano w okolicy. W późną noc wspomnienia młodości, opowiadania zaszłych wypadków w znajomej okolicy zajęły ich. Nazajutrz rano rozstać się mieli znowu. Bez widocznej boleści, spokojnie przyjął Ostap wiadomość o zamęściu Michaliny; nie dał poznać nawet po sobie, że go z nią inne nad wdzięczność węzły łączyły.

Śmierć hrabiego, uwolnienie krewnych przez Michalinę do łez go poruszyły i nie dziw: samotność podnosi człowieka, miękczy, egzaltuje. Ciągłym ocieraniem się o świat tracim władzę uczucia czegokolwiek głęboko i zużywamy się, twardniejem, serce dostaje nagniotków; w samotności, mniej targani w różne strony, mniej szafując sobą, skupiając się w duszy własnej, zdolniejsi jesteśmy uczuć potem silnie, cokolwiek nas dotknie; wszelkie wrażenie mocniejsze jest i trwalsze.

Ostap też płakał, gdy Alfred prawie chłodno dotknął najważniejszych wypadków i łzy nad niczym wylać nie umiał.

Słońce wschodziło za górą, gdy przeprowadzony przez Ostapa wyszedł Alfred z gościny ubogiej.

- Znalazłem cię - mówił w drodze - widzieliśmy się znowu. Czemuż byś kiedy ty także do nas, do swoich, do tych, co cię kochają, nie przyszedł?

- Nigdy! Nigdy! - odrzekł Ostap. - Przysiągłem pustyni... zostaw mnie w niej. Po co ja tam? Mnie tu lepiej... wierz mi.

- Ale pustelnicy przecie, mnichy wychodzili nieraz na świat. Czemuż byś ty, dobrowolny cenobito[124], nie miał zeń wyjrzeć?

- Odwykłem od niego; nie jestem już tym berlińskiego uniwersytetu wychowańcem, którego znałeś dawniej. Suknia inna, myśli inne, wszystko się we mnie odmieniło.

Jedno pozostało dawne: przyjaźń i wdzięczność dla ciebie i przekonanie, że między wami nie ma tam miejsca dla mnie.

- Bądź zdrow!

Ścieżka wychodziła z jaru; ścisnęli się za ręce, rozeszli.

Na tym się kończy pierwsza epoka życia Ostapa Bondarczuka.

Dalszy ciąg dziejów Ostapa Bondarczuka zawiera powieść "Jaryna".

Przypisy

[1] Usque ad finem (łac.) - aż do końca.

[2] C'était de bonne prise (fr.) - dobra to była gratka.

[3] Mowa tu o wyprawie Napoleona na Rosję w r. 1812.

[4] Aleksander Wielki (356 - 323 p.n.e), król macedoński.

[5] Juliusz Cezar (100 - 44 p.n.e.), wódz, mąż stanu i pisarz rzymski, Kraszewski porównuje z nim Napoleona.

[6] Łotoć - gatunek kaczeńca.

[7] Płosa - pas.

[8] Bodiak - oset.

[9] Zasadny - solidny.

[10] Besarabia - kraj między Dniestrem, Prutem i Morzem Czarnym.

[11] Ściel - tu: ziemia.

[12] Semia (ukr.) - rodzina.

[13] Burzan (z ukr.) - wysoka trawa stepowa.

[14] Sztukateria - ozdoba architektoniczna odlewnia z gipsu.

[15] Mozaikowany - wyłożony barwnymi kafkami lub płytami tworzącymi obrazy albo wzory.

[16] Pająk - wieloramienny ozdobny świecznik zwisający z sufitu.

[17] Jarzyna - tu: jare zboże.

[18] Modyfikować - zmieniać.

[19] Austeria - karczma, oberża, zajazd.

[20] Traktowy - znajdujący się przy trakcie, tj. gościńca.

[21] Laskanie - klaskanie.

[22] Landara - duży, kryty powóz.

[23] Koczyk - półkryty powóz.

[24] A la guerre comme á la guerre (fr.) - na wojnie jak to na wojnie.

[25] Restauracja - tu: odbudowa.

[26] Le desespoir est canaille (fr.) - rozpacz jest rzeczą gminu.

[27] Nacje - tu: wojska kilku narodowości wchodzące w skład armii Napoleona.

[28] Przechadzka - tu: aleja.

[29] Fashionable (ang.) - modny.

[30] Bursz - członek postępowych organizacji studenckich w ówczesnych Niemczech.

Z czasem organizacje te uwsteczniły się, a słowo "bursz" zaczęło oznaczać złotego młodzieńca.

[31] Namulona - tu: szorstka.

[32] Szranki - tu: równowaga, opanowanie, granice.

[33] Moncher (fr.) - mój drogi.

[34] Mitra - tu: korona w herbie, przysługująca utytułowanym rodom.

[35] Paria - parias: członek najniższej, pogardzanej klasy społecznej w Indiach, pozbawionej praw i niehumanitarnie wyzyskiwanej.

[36] Lasy nadstyrowe - znajdujące się nad rzeką Styr, przepływającą przez Wołyń i Polesie.

[37] Quid tentare nocebit? (łac.) - co szkodzi spróbować.

[38] Pierwszy - pierwotny, poprzedni.

[39] Kłamię sobie - kłamliwie sobie przypisuje.

[40] Filister - człowiek o ograniczonym poglądzie na świat, obojętny na sprawy ogólnoludzkie; tu: były student.

[41] Atrybut - cecha, właściwość.

[42] Wojaż - podróż.

[43] Nauczyłeś - poznałeś, przeniknąłeś.

[44] Kardynałny - podstawowy, zasadniczy.

[45] Kolońskie Przedmieście - dzielnica Berlina.

[46] Nadspreska stolica - Berlin (leży nad rzeką Szprewą - niem. Spree).

[47] Krupiarnia - młyn do wyrabiania krup.

[48] á l'anglaise - na sposób angielski.

[49] Bakembardy - bokobrody.

[50] Tyftyk - gatunek tkaniny bawełnianej lub wełnianej.

[51] "Gazette de France" - "Gazeta Francji", reakcyjny dziennik paryski.

[52] Przytomność - tu: obecność.

[53] Bobak - zwierzę z rodziny gryzoni.

[54] Si vous voulez (fr.) - jeżeli wolisz, jeżeli chcesz.

[55] C'est le mot (fr.) - to jest dobrze powiedziane.

[56] Sfinks - u starożytnych Egipcjan bóstwo wyobrażane w postaci leżącego lwa z głową i piersiami kobiety. W przenośni symbol tajemniczości.

[57] Madame des Roches, voulez-vous fair un tour au jardin? (fr.) - pani des Roches, czy zechce pani przejść się po ogrodzie?

[55] Volontiers (fr.) - chętnie.

[56] Antoine de Genoude - współpracownik "Gazette de France"~ klerykał i monarchista.

[57] Vous n'êtes pas legitimiste, Madame des Roches? (fr.) - pani nie jest przecież legitimistką, pani des Roches?

Legitymistami nazywano we Francji zwolenników kierunku monarchistycznego; domagali się oni powrotu na tron dynastii Burbonów, obalonej przez burżuazyjną rewolucję w r. 1789.

[58] Ma chere (fr.) - moja droga.

[59] Aksjomat - prawda powszechnie przyjęta, niewątpliwa, rzecz pewna.

- [60] Fatalność - zrządzenie losu.
- [61] Per excellentiam (łac.) - w pełnym tego słowa znaczeniu.
- [62] Imiona krajowe - nazwiska rodów arystokratycznych w kraju.
- [63] Pretendent - tu: konkurent.
- [64] Anticipative (łac.) - z góry uprzedzając fakty.
- [65] Paludament - prawo do noszenia purpurowego płaszcza, które przysługuje książętom należącym do domów panujących.
- [66] Lustr - blask.
- [67] Koligacja - pokrewieństwo, powinowactwo.
- [68] Żywioł - tu: chęć, ochota.
- [69] Aparfaitement raison (fr.) - ma zupełną rację.
- [71] Vous etes bien bon (fr.) - pan jest bardzo dobry.
- [72] C' est ça (fr) - otóż to.
- [73] Un manant est un manant, un vilain - sil n'est pas pis (fr.) - chłop pozostanie chłopem, gburem, jeżeli nie gorzej.
- [74] Prezentować się - stawić się przed obliczem.
- [75] Dilemma - dylemat: trudny wybór między dwoma przeciwnościami.
- [76] Qu'il aille se faire pendre ailleurs (fr.) - niechaj każe się powiesić.
- [77] Ah! Quelle perplexite! (fr.) - ach! cóż za powikłanie!
- [78] Plenipotencja - pełnomocnictwo, upoważnienie do zarządzania majątkiem i interesami właściciela wielkiej posiadłości ziemskiej.
- [79] Jeneralny komisarz - główny administrator dóbr magnackich.
- [80] Un homme tres distingue. Voulez-vous faire sa connaissance? (fr.) - człowiek bardzo wytworny. Czy chce go pan poznać?
- [81] Comment donc? (fr.) - tu: dlaczego nie.
- [82] Ludwik XIV - Król Francji panujący w latach 1645-1715.

- [83] Stać - tu: mieszkać.
- [84] Chodym (ukr.) - chodźmy.
- [85] Brzost - wiąz.
- [86] Pryjichau (ukr.) - przyjechał.
- [87] Upolek - deska z kłoca, z jednej strony płaska, z drugiej zaokrąglona.
- [88] Ikona - obraz święty.
- [89] Tok - tu: ubita ziemia zastępująca podłogę w chatach wiejskich.
- [90] Wyżki - stryszek w chacie wiejskiej, służący również do spania w lecie.
- [91] Sukiennica - fabryka tkacka wyrabiająca sukno. W przedsiębiorstwach tych wyzyskiwano przymusową pracę chłopów pańszczyźnianych, przy czym praca ta była ręczna.
- [92] Samopłużny - chłop mogący wychodzić na pańszczyznę z własnym pługiem i zaprzęgiem.
- [93] Tarn - dziś: tarnina.
- [94] Skazka - wykaz chłopów pańszczyźnianych.
- [95] Charczować - żyć.
- [96] Iwan Gonta - setnik Kozaków nadwornych wojewody kijowskiego Franciszka Potockiego, później jeden z przywódców powstania chłopskiego na Ukrainie w r. 1768. Po upadku powstania został stracony.
- [97] Donkiszotować - postępować jak Don Kiszot, bohater satyrycznej powieści hiszpańskiego pisarza Cervantesa (1547-1616), tzn. porywać się na rzeczy nieosiągalne.
- [98] C'est distingué est joli ça (fr.) - to wytwornie, to ślicznie.
- [99] Parfait! (fr.) - doskonale!
- [100] Esprit fort (f.) - wolnomyśliciel.
- [101] Coupe (fr.) - tu: powozik dwuosobowy.
- [102] Mais c'est une enormite (fr.) - ależ to okropność!
- [103] Hipoteza - domysł, przypuszczenie.
- [104] Ne ressemblerait pas a tout le monde (fr.) - nie podobny był do wszystkich innych.

[105] Społeczeństwo - tu: towarzystwo.

[106] Lancet - nóż chirurgiczny.

[107] Dusza - chłop poddany.

[108] Oberemek - naręcz, wiązka.

[109] Zastanowić się - tu: zatrzymać się.

[110] â l'anglaise - na sposób angielski.

[111] Stanisław Trembecki (1730-1812) - poeta polskiego Oświecenia; pod koniec życia przebywał u Szczęsnego Potockiego na Podolu. Piękno ogrodów Zofii Potockiej opisał w poemacie "Zofiówka".

[112] Kamieniec - miasto i twierdza na Podolu; w XVII w. Przedmiot długoletnich walk między Polską a Turcją.

[113] minaret - wysmukła, okrągła wieżyczka na meczecie (świątyni mahometańskiej), z której krąganków wzywa się pięć razy dziennie wiernych na modlitwę.

[114] Nolite judicare! (łac.) - nie sądźcie!

[115] Domine! Conserva nos in pace (łac.) - Panie, zachowaj nas w pokoju.

[116] Alkoran - koran; święta księga mahometan zawierająca przepisy religijne, prawa prawa oraz liczne legendy.

[117] muezzin -kapłan mahometański zwołujący wiernych na modlitwę.

[118] Chocim - miasto w Besarabii nad Dniestrem, znane z bitew Polaków z Turkami w r. 1621 i 1673.

[119] Wołoszczyzna - kraj leżący między Dniestrem a dorzeczem dolnego Dunaju.

[120] Bukowina - kraj leżący między Czeremoszem a Dniestrem.

[121] chutorek - niewielkie, odosobnione gospodarstwo.

[122] litografowany - odbity drukiem na papierze z rysunku wykonanego uprzednio na kamieniu.

[123] Cenobium (łac.) - klasztor.

[124] cenobita - mnich.